P. W. S. P. w Gdańsku 4952

Stron 8

...ata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 75 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Do wyborów—we Froncie Narodowym

Rok IX | Warszawa, dn. 26 października 1952 r. | Nr 43 (377)

STANISŁAW WYGODZKI

Dziś naród wybiera

URODZIŁEM się w Zagłębiu Dąbrowskim, ale od wielu lat tam nie mieszkam. Ilekroć wracam w rodzinne strony, ile razy spotykam znajomych lub przyjaciół z tamtych stron, tyle razy wracamy wspomnieniami w przeszłość.

To, co napiszę, nie jest wynikiem spotkania z ludźmi Zagłębia, to wynik wycieczki w odległe czasy tamtej ziemi — w okresy wyborcze, w okresy wzmożonej pracy politycznej rewolucyjnego proletariatu, ale i wzmożonych represji. Wiecowano pod gołym niebem w błysku obnażonej szabli, w huku strzałów karabinowych.

Wiece odbywały się w nędznych dzielnicach robotniczych, na przedmieściach, na ludnych ulicach, wzdłuż domów, gdzie za oknami przerażeni kapitaliści polscy wraz ze swymi sojusznikami obcokrajowymi, oczekując szarży i salwy wymierzonej w pierś polskiego robotnika, z lękiem przypatrywali się twardemu pochodowi polskich robociarzy. Wiece i masówki przedwyborcze odbywały się pod murami fabryk, pod bramami kopalń i razem wiecowali ci, którzy za bramą, na terenie zakładu wyrażali chęć wspólnej walki z tymi, co stojąc po ulicznej stronie bramy, nie mogli jej przekroczyć, ponieważ nie było dla nich pracy.

Były czasy, kiedy robotnicy nie odmykali bram, ponieważ właśnie strajkowali, ale były i czasy, gdy je zatrzaskiwano przed wyczekującym tłumem, ponieważ kapitaliści ogłaszali lokaut. Jedno i drugie zjawisko było tak nieodrodne od istnienia kapitalizmu, od systemu wyzysku — jak to, że walkę proletariatu burżuazja usiłowała zdławić przy użyciu kul, szarż i wyroków sądowych.

Dziś bramy zakładów pracy — gdziekolwiek Polska — są zamknięte, ale tylko dla dywersantów i szpiegów, dla szkodników i wysłanników imperialistów i owych osobników, którzy kiedyś z ukrycia śledzili, jak polska policja rozprawia się na polskiej ziemi z polskim ludem.

Wystarczy dziś chociażby przyjrzeć się, w jakich warunkach omawialiśmy Program Wyborczy Frontu Narodowego, w jakich warunkach wybierać będziemy do Sejmu i kogo wybierzemy, aby jeszcze raz uprzytomnić sobie, co się dokonało w naszym kraju. Wybierzemy ludzi, którzy pracą swoich rąk i mózgów stworzyli wszystko, czym się nasza ojczyzna szczyci. Będą wśród nich ci, którzy w przeszłości walczyli o wolność społeczną i ci, którzy nadaremno walczyli o prawo do pracy i chleba, będą i ci, którzy w tamtych warunkach nie mogli rozwinąć swoich zdolności, oraz ci, którzy już w warunkach wolności narodowej i społecznej swoją pracą zdobyli przodujące, czołowe miejsce w narodzie — wszyscy zespoleni jedną myślą: umocnienia naszej ojczyzny, wzmożenia jej sił, spotęgowania jej obronności.

Jako pisarz popieram z całego serca Program Wyborczy Frontu Narodowego za Polską, w której nie ma bezrobotnych, głodnych, bezdomnych, analfabetów, przeciwko wszystkim mrocznym siłom, które kiedyś na niesprawiedliwości i rozboju opierały swą władzę i przeciwko tym wszystkim, którzyby pragnęli odwrócić bieg naszych dziejów.

Stanisław Wygodzki

LESŁAW BARTELSKI

W imię przyszłości

STEFAN Żeromski nieustannie nawoływał w swych książkach do zerwania z marazmem i do walki o lepszą przyszłość narodu; wielki marzyciel, nie związawszy się z jedyną siłą rewolucyjną naszych czasów — klasą robotniczą musiał pozostać osamotniony. A przecież jego wizje nie były tak nierealne, jakby się mogło z pozoru wydawać — nosiły w sobie słuszne założenia, ich wcielenie w życie przyniosłoby niesłychaną korzyść krajowi, ale przecież nie na tym zależało rządzącej naonczas burżuazji. Była w społeczeństwie polskim siła, która mogła przemienić owe marzenia w czyn — Komunistyczna Partia Polski; w swym codziennym postępowaniu, w swej uporczywej walce komuniści marzycielstwu wielkiego pisarza przeciwstawiali realne ich spełnianie. Kiedy Żeromski wołał o szklane domy, Bolesław Bierut podpisywał akt założenia Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, stanowiącej pierwowzór socjalistycznej Warszawy. Kiedy Żeromski dopominał się o ujarzmienie Wisły, któż tego nie odczuwał silniej niż Bierut, którego ojcowiznę pochłonęła zaborcza, kapryśna rzeka? Program politycznych reform Żeromskiego, oparty był na współczującej wyobraźni, która podsumowała możliwości wielkich rozwiązań dziejowych, nie podając jedynie, kto miał je realizować. Tę siłę widział pisarz w narodzie polskim, zapominając, że jest on spętany przez burżuazję, nie zdając sobie sprawy, że tylko rewolucyjne przemiany mogą przywrócić narodowi wiarę we własne siły. Program KPP poszerzał wyobraźnię pisarza o ten zakres, którego Żeromski w pełni nie dostrzegał — o organizację, walczącą w imię przyszłości — o Partię.

My, pisarze współcześni, nie powinniśmy nic uronić z wielkiej spuścizny społecznej i politycznej Stefana Żeromskiego, zdając sobie sprawę z tego, że Jego gorejące serce cierpiało razem z całym narodem, pragnąc mu przyjść z pomocą. Nie było dziedziny życia, której by On nie ogarnął, nie było zagadnienia, które by nie znalazło oddźwięku na kartach jego książki. I dlatego powinniśmy naszą pasję polityczną i społeczną kształtować na wzór Jego pasji, bogatsi o doświadczenia zwycięskiej rewolucji. Każdy dzień narzuca nam nowe możliwości wykazywania tej pasji, każdy bowiem dzień jest walką o przyszłość narodu. Akt wyborczy w swej istocie będzie potwierdzeniem i wyborem na rzecz tej przyszłości, aktem odwagi podjęcia odpowiedzialności za nią i przyrzeczeniem wypełniania zadań, jakie podejmujemy. Czytając program Frontu Narodowego dostrzegamy w jego realnych możliwościach wizje wielkiego pisarza, które wybrany przez nas Sejm jako najszersza reprezentacja narodu potwierdzi aktami ustawodawczymi. Wola narodu przemieni wizje jednego z naszych największych myślicieli, a zarazem tragicznego samotnika, we wspaniały kształt budownictwa socjalistycznego.

Lesław Bartelski

SEWERYN SKULSKI

Ojczyzno!

Tęskniłem za Tobą lata
W Bostonie, Kentucky, Toledo
Dymem spowity i biedą
Na Wyspie Łez tego świata,

I oto Polsko kochana,
Nogami po Twoim łanie
Stąpam i serce mi płonie
Za noce, dnie i za rana,

Chodzę nogami własnemi,
Jak w lata minione młode,
I patrzę na Twą urodę
I miody ssię Twojej ziemi.

Nie mamy jeszcze w Polsce miodu,
Ptasiego mleka jeszcze nie ma
Lecz nie dla panów rodzi ziemia,
Dziś ziemia rodzi dla narodu.

Bo nikt nam tego nie roztrwoni,
Co nasze własne to nam wianem,
Naród jest swoich potów panem,
I własne losy mamy w dłoni.

Uszczęśliwią się wsie i grody,
Już takie czasy nie daleko,
Będziemy mieli ptasie mleko,
Będziemy mieli słodkie miody.

Wiemy, że będą, wiemy kiedy;
Po żmudnej pracy i po walce,
Będziemy z miodu lizać palce
I z jaśniepańskiej śmiać się schedy

JERZY MILLER

Na dzień 26 października

O wczesnym świcie wyjdę z domu...
Aby ów dzień był cały rzeźki!
Dojdę do urny jak do tomu
poezji z lutni czarnoleskiej.

Na wszystko, co podobne wiośnie
będę głosował — aby kwitło,
aby dźwięczało tak donośnie
jak wiersz zaczęty od słów: „Litwo
Ojczyzno moja...“ —

Lecz przeklnę tych, co chcą nas zabić,
zza oceanu dżumonośców!
I zabrzmi w głosie mym nienawiść
biorąca górę nad litością.

O wczesnym świcie wyjdę z domu
z pragnieniem: naprzód, naprzód iść! —
Dumny z przebytych dróg ogromu
Głos i Polska! — oddam, jakbym list,
tę kartę wstępu do przyszłości —
zaadresował i opłacił
daninę trudu i miłości
— przeciw zatracie!

MARIAN PIECHAL

Na kogo oddam głos mój?

Kto się domagał prawa głosu
w ojczyźnie głodu i żandarmów?
— Ten, który walczył z wrogiem, wiedząc,
że nie przelewa krwi na darmo.

Kto wreszcie zdobył prawo głosu
i z mroku światłem w przyszłość błysnął?
— Ten, który walcząc, kraj wyzwolił
spod jarzma krzywdy i ucisku.

Komuż więc oddam głos mój wolny,
wyrwany z wrogich haseł ciżby?
— Temu, kto z ruin kraj podnosząc
jest krwią i solą mej ojczyzny.

Temu, kto wolność wywalczywszy,
odgruzowując ją spod zwalisk,
scala ją teraz i umacnia
cementem, co się zwie Socjalizm.

Na tego oddam głos mój, temu
powierzę w dłonie każdą sprawę,
kto dłońmi z pól nad normy dźwiga,
i Nową Hutę, i Warszawę.

WŁADYSŁAW UDALSKI

Kandydat ludu

Od pól nadleciał wiatr październikowy
i świt — jak sztandar — poderwał do szturmu
przeciw ciemnościom i wtórzy rozmowom
chłopów idących całą wsią do urny.

W tej wiosce chłopi mają kandydata,
z którym przeżyli — tutaj — po sąsiedzku,
bunt przeciw nędzy w przedwojennych latach
i ból po kraju sprzedanym zdradziecko.

Przeżyli czasy klęski, gdy faszyści
zadusić chcieli opuszczony naród —
wtedy on wzniecał w nich żar nienawiści
i był dla ludzi płomieniem i wiarą.

On ich prowadził i znowu powiedzie
przez trudy nowe ku nowym zwycięstwom,
jak zawsze z nimi i zawsze na przedzie,
tam, gdzie odwaga potrzebna i męstwo.

Więc dziś w szumiące dni październikowe,
kiedy na Wschodzie komunizm już dnieje,
a na Zachodzie faszyzm wznosi głowę,
takim lud zwierza swój los i nadzieję.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

PRZYJACIEL

Do połowy marca średnioprzędna wykonywała plany dzienne z nadwyżką, produkcja rosła. Od połowy marca wykonanie nagle zaczęło się załamywać. Strzałki wielkich zegarów nad wejściem do budynku fabrycznego wskazujące wykonanie dzienne i wykonanie w miesiącu za okres ubiegłych dni, zostały przesunięte na lewo, poniżej cyfry 100, i utrzymywały się na cyfrach 96, 94, a nawet 92.

Wielu przypisywało to nagłym zmianom atmosferycznym. Po łagodnej zimie nadciągnęła nad Polskę na przełomie wiosny i zimy fala mroźnego powietrza. W nocy mróz dochodził do piętnastu stopni Celsjusza.

— Dużo zawiniła pogoda — tłumaczyli majstrowie na odprawie u inżyniera Urbańczyka z udziałem sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej. — Raz mrozy i suche powietrze, raz śnieg i wilgoć, na sali to chłodno, to gorąco, przędza się rwie, prządki nie nadążają z dokręcaniem, produkcja spada.

— Nie opowiadajcie bajek, nie wierzę w bajki — inżynier Urbańczyk śmiał się rubasznie, a jednocześnie ruchem człowieka zmartwionego pocierał zmarszczone czoło. — Dopilnujcie dokładniejszego czyszczenia maszyn. Przez sprawne funkcjonowanie obrączników pokonacie kaprysy pogody.

— To nie tylko to — majster Jastrzębski wysunął inne zastrzeżenia — Zmiana asortymentu powoduje przestoje maszyn. Na jednej maszynie tracimy od godziny do półtorej.

Po odprawie majster Jastrzębski został jeszcze w gabinecie inżyniera.

— A jak pracują czwórki? — spytał Urbańczyk.

— Do połowy marca wykonały sto pięć do stu siedmiu procent bazy.

— A teraz?

— Teraz różnie — odrzekł Jastrzębski wymijająco.

— Dlaczego?

Jastrzębski wzruszył ramionami.

— To ja wam powiem! Jak majster widzi przy maszynie człowieka — mówił z akcentem tłumionej goryczy — to produkcja idzie. A jak majster komenderuje zza biurka w kantorze, to produkcja leży! Wystarczy nieraz, żeby majster podszedł, okazał zainteresowanie, powiedział jakieś ciepłe słowo...

— Do mnie pijecie, inżynierze?

— Do was, kolego Jastrzębski! Bo mnie się zdaje, że wy zapomnieliście o waszych czwórkach.

To, co tutaj opowiadali o pogodzie, asortymentach i tak dalej, to są stare, znane trudności, które dawno już nauczyliśmy się przezwyciężać. Wszystko zależy od człowieka, a człowiek może dużo. Trzeba umieć tylko wykazać ludziom do czego są zdolni i stawiać im przed oczami cel. Trzeba im przypominać o nim, bo ludzie łatwo gubią się w drobiazgach; taka już jest nasza ludzka natura. A jest co ludziom stawiać przed oczami, warto im o niejednym przypomnieć, bo cel przed nami wielki! Co wam zresztą będę tłumaczył? Dla was te sprawy powinny być jasne. Troska o człowieka to nasz główny obowiązek.

Urbańczyk odwrócił się do okna i popatrzył na ulicę, na kobiety, śpieszące do fabryki na drugą zmianę. — Powinniśmy towarzyszyć robotnikom, towarzyszyć im wciąż i wszędzie, myślą i sercem, powinniśmy wiedzieć o ich zmartwieniach i radościach i dzielić je z nimi, i iść razem z nimi, prowadzić ich nie jak dowódcy; jak przyjaciele.

Zażenowany ciepłą treścią własnych słów, umknął spojrzeniu majstra, odszedł od okna za biurko i stamtąd mówił zmienionym już tonem zrzędy: — A my co wiemy o naszych prządkach? Co wy wiecie o kobietach z waszych czwórek? Że mała Kicińska jest ambitna? Że Malinowska ma zwinne palce i jest zarozumiała? To mało, kolego Jastrzębski!... Jeszcze mniej wiecie o innych kobietach z Czwartej Lewej. A któraż z nich nie chciałaby wykonać z honorem podjętych zobowiązań? Nie ma takiej. Ja, przynajmniej, myślę, że nie ma.

— To wszystko, co wam chciałem powiedzieć — zakończył cierpko.

Ostatnie słowa miały suche, oficjalne brzmienie. I w chwilę po wyjściu majstra Urbańczyk doświadczył czegoś w rodzaju niezadowolenia z siebie. Taki sposób postępowania z człowiekiem — rozważał — nie pomaga mu, przeciwnie, demobilizuje.

Niecierpliwym ruchem przeciągnął ręką po siwiejących włosach, zapalił papierosa i nagle odłożył papieros na popielniczkę i wyszedł szybko na dwór.

Mroźny podmuch marcowego wiatru wionął mu w twarz i szarpnął włosami.

— Jastrzębski! — zawołał inżynier na majstra, kroczącego wzdłuż czerwonego muru fabryki. — Jastrzębski!

Zbliżający się do przędzalni majster odwrócił się i zatrzymał pod zegarami nad wejściem. Inżynier wielkimi krokami dopadł do majstra i ujął go oburącz za ramiona. — Jastrzębski, nie macie pretensji, że was obsztorcowałem?

Chwilę stali naprzeciw siebie w milczeniu, z zaczerwienionymi od wiatru twarzami i rozwianymi włosami, jak zacietrzewieni przeciwnicy. I nagle obaj wybuchnęli śmiechem. — Nie, skąd inżynierze — mówił śmiejąc się majster. — Nie mam pretensji. Ale wejdźmy do sieni, bo się zaziębicie.

✣

Zamiast napisać, że Stanisław Urbańczyk, syn ślusarza, urodził się w 1900 roku w Komorowicach na Śląsku Cieszyńskim, że skończył szkołę przemysłową w Bielsku, że potem nawet jako fachowiec nie mógł znaleźć pracy i musiał wywędrować z rodzinnych stron do Łodzi...

Zamiast opisywać, jak ten wytrwały Ślązak zaczął pracować jako prosty robotnik w Zakładach Geyera, a potem — Ramischa w Łodzi, jak w 1945 roku zakasał rękawy i z gromadą robotników przystąpił do odbudowy zniszczonej przez hitlerowców fabryki...

Zamiast powtarzać to, co jest ważne, ale o czym już wiemy wszyscy, że dopiero władza robotników i chłopów w Polsce Ludowej dała Urbańczykowi, jak tysiącom jemu podobnych, możność zdobycia zaszczytnego tytułu inżyniera — „oficera produkcji"...

Zamiast pisać o tym, w jaki sposób inżynier Urbańczyk doszedł do stanowiska naczelnego inżyniera Zakładu „B" ZPB im. Józefa Stalina w Łodzi, gdzie robotnicy w uznaniu jego trudów, wysiłku, pracy i troski o człowieka pracującego wysunęli go na kandydata do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej...

Zamiast tego wszystkiego wydało mi się słusznym podać opisane wyżej zdarzenie, które, moim zdaniem, lepiej niż najdłuższy życiorys charakteryzuje inżyniera Stanisława Urbańczyka, jego troskę o człowieka i szacunek dla człowieka.

Władysław Rymkiewicz

TADEUSZ SZEWERA

SOBOTNI WIECZÓR

Są takie zadeszczone dni, zasnute mgłami, kiedy jedynym, zda się, marzeniem człowieka bywa: dostać się jak najszybciej do ciepłego domu, by w kręgu jasnej lampy pochylić się nad książką.

Pamiętam taki dzień. Było to niedawno, w gorącym okresie podejmowania przedwyborczych zobowiązań przez świat pracy. Miałem już za sobą wiele zebrań w łódzkich fabrykach, bywałem tam z ramienia naszej rozgłośni radiowej. Na budowę rurociągu Pilica—Łódź, wyznaję to otwarcie, jechałem niechętnie. Pewne przemęczenie pracą, kiepska pogoda, wreszcie niczym bliżej nieuzasadnione przekonanie, że nie znajdę tam ciekawego materiału — to były zapewne główne przyczyny owej niechęci. Może nawet i to, że obiecywałem sobie solennie zabrać się tego dnia do „Pamiątki z Celulozy".

Mżył jesienny kapuśniaczek, na drogach potworzyły się bajora, wszędzie spływały z okapów wąziutkie strużki deszczowej wody.

Zatrzymałem się obok wsi nazwanej Górą Zieloną. Nigdzie jednak góry nie było. Wokół rozciągały się podmokłe pola, dalej aż po horyzont legły torfowiska, wśród których wiła się leniwie mała rzeczka Miazga. Tuż przy jej korycie, w dwumetrowym wykopie pracowała brygada Cynkiera. Żal mi było tych ludzi serdecznie, nie chciałem przez delikatność wszczynać rozmowy na temat zobowiązań przedwyborczych, nie przypuszczałem, że je w ogóle podejmą w takich uciążliwych warunkach.

Minęło już sobotnie południe, powinni niedługo wracać do domów.

— Jak spędzacie towarzysze wieczory sobotnie? — to pytanie wydało mi się najsensowniejsze.

Usłyszałem o prostych, ludzkich sprawach. Roman Cynkier, podobnie jak Bartosik i Just wraca do domu, przy ulicy Wilczej. Każdej soboty wyciąga się ku niemu sześć par rączek. Cynkier ma taki zwyczaj, że bierze kolejno malców na kolana, a następnie odbiera tygodniowy „raport" od najstarszego, który chodzi już do szkoły i zbiera same piątki. W czasie „odprawy dzieci" żona przygotowuje kolację, następnie rodzice wybierają się do kina.

Późnym wieczorem Cynkier jeszcze czyta. Opowiada to wszystko ze spokojem, wyrzucając z rowu bryły zlepionej ziemi.

Tak, osobliwa to wielka budowla socjalizmu w Polsce. Nie wznoszą się tu lasy rusztowań, brak nowych domów, tylko ten wielki, szeroki rów, ciągnący się setkę kilometrów.

Ale oto mówi Wacek Owsiany, najmłodszy z brygady. Pochodzi ze wsi, trudno dziś powiedzieć okolicznej, gdyż z każdym dniem oddala się od niej. Będzie miał już teraz ponad 10 km. U niego sobotnie popołudnie wygląda tak: na skraju wsi czeka zawsze dziewczyna, prowadzi go do matki, staruszki już, która najchętniej, wpatrzona w syna, słucha o rurociągu. No a wieczorem na zabawę ludową z jasnowłosą dziewczyną.

Co zaś do Talarskiego i Milickiego to pochodzą oni z podwarszawskiej wsi. Dobijają tam już wieczorem nieco zmęczeni, ale rzadko kiedy obywa się bez tego, żeby nie musieli spierać się z kolegami z „Ursusa". Bo tamci trochę lekceważą taką kopaninę w ziemi, wynoszą pod niebiosa swoją wspaniałą fabrykę traktorów i nie imponuje im wielka koparka z NRD. Ustępują jednak, gdy chłopcy opowiadają o mieście - olbrzymie, które kapitalizm zostawił nam bez wody.

Pomyślałem i ja o swoich planach na sobotni wieczór. Dochodziła chyba trzecia godzina, kiedy zapytałem:

— No co, pewno już pójdziemy?

Cynkier spoważniał: — Nie towarzyszu, dziś do domu nie wracamy.

Więc jednak podjęli zobowiązanie jak cały pracujący naród. Odchodziłem powoli. Jeszcze z daleka, przez lekką jesienną mgłę widziałem, że Owsiany wyskoczył z rowu a za chwilę toczył przed sobą wielki kamień podany z dołu. A potem deszcz i mgła zasnuły zupełnie rów i brygadę Romana Cynkiera.

Jakże zapomnieć ten dzień? Zapomnieć to oznaczałoby tyle, co puścić w niepamięć olbrzymi, wspaniały, porywający i bohaterski zryw polskiego świata pracy, czczącego wielki dzień wyborów — 26 października.

Tadeusz Szewera

W tej chwili jedna z robotnic komunikuje, że Domagalska już wróciła do domu,

✣

Jeżeli można mówić o ciepłej atmosferze, wytwarzanej przez człowieka, to właśnie ona uderzyła mnie z miejsca. Przy piecu stoi starsza, posiwiała kobieta, zajęta prasowaniem wstążki. Sześcioletnia dziewczynka z rozpuszczonymi, jasnymi włosami, spogląda ciekawie na niespodziewanego gościa.

Domagalska opowiada a Danusia, jej wnuczka, słucha uważnie słów babki. Jej opowiadania o tym, że rozpoczęła pracę w „Hortensji" w 1919 roku jako dwudziestoletnia panna... Jak w kilka lat później wyszła za mąż i zwolniła się z roboty, ale już w 1927 r. musiała znów do pracy powrócić, by po śmierci męża znaleźć możność utrzymania córki i matki... Kiedy potem, jako członek Komitetu Strajkowego, została aresztowana i wpisana na czarną listę...

— Uwierzyć trudno, jakie to było życie — mówi Domagalska, a jej żywe, dobre oczy zasnuwa ciężar gorzkich wspomnień.

— Od 1932 do 1938 roku bez pracy, bez stałego zarobku. Prałam, chodziłam na posługi, drzewo w lesie zbierałam.

Danusia z uśmiechem patrzy na babkę i wcale się nie przejmuje opowiadaniem. Nie wierzy po prostu, aby mogło być to prawdą. Domagalska gładzi wnuczkę po głowie.

Przez okno mieszkania Domagalskich widać wielkie budynki, a obok nich las rusztowań otacza nowowznoszone mury.

— Kombinat — informuje Danusia, a jej babka potakująco kiwa głową.

— Będzie znów potrzeba ludzi do pracy — mówi. — Tak to jest za władzy ludowej, że pracę i życie ludziom daje...

Edward Szuster

EDWARD SZUSTER

MATKA, BABKA I WNUCZKA

NALEŻY iść ulicą Stalina i minąwszy wiadukt kolejowy skręcić w pierwszą ulicę na prawo. Zaraz za skrętem widać trzy smukłe wykrzykniki kominów fabrycznych, wznoszące się nad niskimi zabudowaniami. Ulica biegnie lekko w górę, więc też kominy wydają się szczególnie wysokie i strzeliste. Stoją opodal siebie i trójcę tę dostrzec można z każdego chyba miejsca w Piotrkowie. Tym bardziej, że w pejzażu miasta komin fabryczny nie występuje często. W okolicy Bugaju znajdziecie jeden czy dwa, parę innych wznosi się w stronie stacji towarowej, a nad północną częścią miasta górują przede wszystkim te trzy kominy „Hortensji" i „Kary".

Tą samą drogą, ku tym kominom, chodzi co dzień od wielu lat Maria Domagalska, brygadzistka huty „Hortensja", dziś kandydat na posła do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z Okręgu Wyborczego Nr. 11 w Piotrkowie.

Nie łatwo jest, w okresie narastającej kampanii wyborczej znaleźć okazję do rozmowy z kandydatem. Domagalskiej nie ma w „Hortensji", wyjechała w teren na spotkanie z wyborcami.

Nazajutrz rano nie można zastać jej w hucie.

— Nic dziwnego — tłumaczy przewodnicząca Rady Zakładowej ob. Piechura — wczoraj była w terenie, późno chyba wróciła... Chcecie coś o niej usłyszeć, idźcie na oddział do ludzi, z którymi pracuje.

Idę wzdłuż wielkiej, pokrytej szklanym dachem hali, gdzie przy wielu różnych maszynach i przyrządach, przy szeregu stołów — szklanka, butelka czy inny produkt huty przechodzi ze stanu półfabrykatu do stanu zupełnej gotowości. Jutro — być może — znajdzie się już na sklepowych półkach. Pracują tu prawie wyłącznie kobiety. Ma to takie — na pierwszy rzut oka — znaczenie, że pochylone głowy, owinięte zgrabnie w chusteczki, wyglądają z daleka jak różnobarwne kwiaty.

I oto zbieram pierwsze wiadomości o kobiecie, której nigdy nie widziałem.

— O Domagalskiej coś powiedzieć? — pyta z uśmiechem Emilia Łaskowa. — No cóż, znamy ją tu od dawna. W strajku okupacyjnym, tym, co to był przed wojną, brała udział. Cały czas tu z nami pracowała na sortowni. Rok tylko, już po wojnie, była kierowniczką przedszkola, ale potem wróciła do produkcji. Pamiętam, najpierw była wycieraczką, później znów wiązarką, a jeszcze potem brygadzistką. Człowiek z niej uczciwy, mądry, porządny, o innych dbały...

Do rozmowy dołącza się Bronisława Szuwartowa. W czasie Referendum ofiarnie pracowała, choć wtedy niespokojnie było u nas i niebezpiecznie. Teraz znów pierwsza jest do ekipy na wieś. A w ogóle to ludziom pomaga i do sprawy podchodzi serdecznie...

Szuwartowa, starsza już kobieta, pogrąża się na chwilę w zadumie, myśli jej biegną w przeszłość.

— Wdową — mówi — przyszła Domagalska na hutę, córeczkę małą i matkę miała na utrzymaniu. A teraz z córką i jej mężem mieszka. Wychowała dziecko, sama jedna a wychowała.

RYSZARD HŁADKO

„Między dawnymi a młodymi laty"

JESTEM synem robotnicy, która przed wojną najmowała się do każdej pracy, od mycia schodów, prania bielizny i sprzątania poczynając. W ostatnich dniach rozmowy moje z matką coraz bardziej przesuwały nas w przeszłość. Wspominaliśmy dziadków, a matka sięgała nawet pamięcią do prababki.

Przecież jednak nie uciekaliśmy w przeszłość. Wspominki nasze zrodziło zadziwienie i radość, że do wyborów w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej pójdzie i starsze pokolenie. Pokolenie, którego młodość przypadła jeszcze na ostatnie dziesięciolecie XIX wieku. Jakiż to olbrzymi łuk historii! Zaczyna go świt nadziei, nieznany jeszcze milionom i nie do wiary często dla tych milionów, ledwo z pańszczyzny wygrzebanych. Świtem — Pierwszy Proletariat i jego walka!

Wśród najstarszego pokolenia, które pójdzie do wyborów, a także wśród kandydatów na posłów z tego pokolenia widnieje nazwisko *Lucjana Rudnickiego*. W jego drodze życia, zindywidualizowanej jak życie każdego człowieka, a obejmującej tyle wydarzeń, czynów i przeżyć, że wystarczyłoby ich na dziesięć żywotów ludzkich — odczytuję bogaty wariant wspólnych i powszechnych losów klasy robotniczej. Odczytuję odzwierciedlenie wzlotów i upadków, pomyłek i sukcesów ruchu robotniczego, jego drogi walki o wyzwolenie proletariatu, o wyzwolenie narodu.

Niech mi więc będzie wolno przypomnieć życiorys Lucjana Rudnickiego, w szczególności pierwszy, najdawniejszy okres, w którym jakże trudno było jeszcze człowiekowi dławionemu nędzą, wyzyskiem i poniżeniem dostrzec prawidłową, jedyną drogę walki, jedyną perspektywę uciemiężonych i poniżonych. Jakże trudno było wyplątać się ze związków i organizacji, które nie szczędziły oszukańczych haseł, a były najgroźniejszymi wrogami jedynej przedstawicielki klasy robotniczej, ludu wiejskiego i całego narodu.

Ale też w życiorysie Lucjana Rudnickiego z dumą oglądamy ciernistą drogę przedzierania się już przed pół wiekiem poprzez zasieki przesądów, magii średniowiecznej i szarlataństwa burżuazyjno-nacjonalistycznego.

✣

Lucjan Rudnicki pochodzi z osady-miasteczka Sulejow. Ojciec jego był już wyrobnikiem w młynie. A przecież rodzina powoływać się mogła na pochodzenie szlacheckie. Ale los szlacheckiego „drobiazgu" w latach po sześćdziesiątych rozwijał się nieubłaganie według praw kapitalizmu: *szlachetka-rzemieślnik-robotnik*. Ojciec jeszcze rzemieślnik, a syn już od murarskiego terminu i ciesielki dojdzie aż do wielkich hal fabrycznych widzewskiej manufaktury.

Sulejów — Łódź. Świadectwo olbrzymiego skoku, gwałtownego przesunięcia się na ekonomiczne i klasowe pozycje proletariusza. Lecz do przełomu ideologicznego jeszcze stąd daleko. „Wiedziałem dokładnie, gdzie jest niebo, gdzie piekło, co to jest dusza i Kościół jako organizm społeczno-boży" — pisze Rudnicki o tym okresie. „Kapliczkowa atmosfera domu, atmosfera strzelistych aktów, nowenn i suplikacji, kult Najświętszej Panienki, świętych obrazków i książeczki do nabożeństwa" — wszystko to długo mroczyło jego umysł i przez dłuższy czas mistycznym pokostem zabarwiało jego socjalizm, było też źródłem wielu pomyłek i potknięć ideologicznych. Nie inny był też w tym czasie młody ruch robotniczy w Łodzi, kiedy zbuntowani wybierali króla na Placu Wolności. Jakże jeszcze zadziwiająco łatwo było w tym czasie godzić „żywoty świętych" z Darwinem a biblię z broszurami PPS-u.

Ale praca w środowisku robotników łódzkich, włączenie się do roboty partyjnej w szeregach PPS-u, nieprzerwanie chłonny kontakt z nacjonalistyczną lekturą prowokowały konieczność uporządkowania spraw ideologii — uzgodnienia jej z działalnością praktyczną

„Miałem do wyboru: albo idąc drogą wskazaną przez spowiednika — zasłużyć na niebo albo ucząc się i walcząc razem z towarzyszami — iść do piekła". Rudnicki wybrał drugie. Wprawdzie był to jeszcze wybór „z dwojga złego" niezbędny wszelako jako punkt wyjścia.

Do rewolucyjnej świadomości jeszcze stąd było daleko. Na oficjalnych lekcjach PPS-owskiego „marksizmu" szkolony, marzy o Polsce Mocarstwowej, która powstanie bez czyjejkolwiek pomocy. „Zgadzałem się na konieczność zjednoczenia sił wszystkich narodów w państwie do walki z samowładztwem, ale... podkreśliłem, że Polska samodzielna może się bardziej zbliżyć do socjalizmu niż w związku z Rosją". Wspólna wówczas praca ze Sławkami, Slewińskimi, Gumplowiczami i innymi — śmietanką PPS-u — późniejszą czołówką piłsudczykowskiej mafii, kontakty z kawiarnianą młodopolszczyzną Krakowa i „patriotycznymi" kiczami Styki omamiały go mesjanistycznym nacjonalizmem.

W pierwszej misji partyjnej w Zagłębiu Sławek poprawiał go według PPS-owskiego programu solidaryzmu klasowego: „...z inteligencją należy postępować ostrożnie i umiejętnie, sprawy narodowe na pierwszym planie, inaczej pójdzie ona razem z endekami". Potem w Krakowie w bezpośrednim zetknięciu się z owym środowiskiem „mecenasów" partyjnych, którzy palcem w bucie nie kiwnęli dla partii bez zapłaty i w pierwszym swoim uwięzieniu dostrzega kontrast:

„Brudna cela Telegrafu" krakowskiego z rozłożonymi na pryczach łachmaniarzami uosabiała kapitalistyczne rządy na całej kuli ziemskiej. Zrozumiałem praktyczne znaczenie hasła: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się". Prysnęło odrętwienie, wyprostowałem się, shardziałem i gdy patrzyłem bez wstrętu już na śpiących współkolegów, chciało mi się wołać: „Ocknijcie się, wstawajcie!"...

Z kimże się więc łączyć? Odpowiedzi na to pytanie poszukiwał gorączkowo w więzieniach Sieradza i Piotrkowa, w moskiewskich „Butyrkach" i na zesłaniu w Archangielsku. Nie było przypadkiem, że udzielili mu jej nie teoretycy z PPS-u, lecz rosyjscy i polscy socjaldemokraci. Udzieliła mu jej rewolucja 1905 roku nagłym błyskiem oświetlająca potencjalne możliwości rosyjskiego proletariatu. Pierwszy refleks dała „Iskra". „Z takim zachwytem i zainteresowaniem czytałem jedynie astronomię w Łodzi. Historię Wielkiej Rewolucji Francuskiej Migneta i Socjologię Spencera w Piotrkowie. Nie wiedziałem jeszcze nic o dwóch prądach wśród socjaldemokratów rosyjskich, nie znałem nazwisk działaczy, którzy je przedstawiali. Tytuł „Iskra" choć wyrazisty nie wiele mi mówił, ale artykuły o celach i metodach walki, częściowo tylko dla mnie zrozumiałe, oszałamiały jak wielka sztuka, której się nie rozumie, ale odczuwa. Korespondencja z ośrodków przemysłowych dostatecznie jasno mówiła o wielkości ruchu. Później dowiedziałem się, że to była sławna „Iskra" Lenina, która wznieciła wielkie płomienie i spowodowała przewrót w całym świecie".

Butyrki i Archangielsk zetknęły go praktycznie z zagadnieniami rosyjskiej socjaldemokracji. Bardziej mu odpowiada teraz federacja „z bałszewikami z Butyrek", niż zalecana przez górę PPS federacja z Litwą, Rusią i Inflantami. „Jaka tam Rosja będzie, to będzie, ale na bolszewikach w rewolucji można zawsze polegać" — powie z satysfakcją.

My wiemy, że to nie była jeszcze pełna świadomość — to był impuls. Rudnicki nie potrafił jeszcze zadecydować i opowiedzieć się całkowicie po stronie esdecji. Kto ma rację? PPS czy esdecy?

„Na zebraniach kółkowych można było wysuwać dążności pepesowskie, na masówkach musiałem przemawiać po esdecku, jeśli chciałem żeby mnie słuchano. Stawałem się instynktownie jednym z masy, nie spostrzegając się z początku, że postępuję inaczej, niż w Częstochowie. Sprzeczne zasady układały się w mej głowie obok drugich".

Ale — „z chaosu lewicowo-prawicowego w partii wyłaniała się przeciwstawność fundamentalna: proletariat-burżuazja".

Praca wśród robotników Białegostoku i agitacja wśród górników Sosnowca dokonały reszty. Spokojna i rzeczowa replika górniczego działacza esdecji Tow. Witolda, mówiącego o wspólnej drodze socjaldemokratów polskich i rosyjskich postawiły Rudnickiego ostatecznie po stronie reprezentującej rzeczywisty interes polskiej klasy robotniczej.

Na konferencji okręgowej PPS-u czyni pierwszy świadomy krok będący wyrazem nowego stosunku do ruchu: przeciwstawiając się izolacyjnej polityce partii, domaga się ścisłej współpracy z socjaldemokratami i nawiązania porozumienia z Rosyjską Socjaldemokratyczną Partią Robotniczą — rzecz jasna bez skutku. I gdy po raz wtóry trafi za kraty piotrkowskiego i kaliskiego więzienia wstępuje tam do SDKP i L.

O tym, co najważniejsze, najbardziej twórcze w jego życiu powie nam sulejowski kandydat w następnych tomach swej autobiografii, nad którymi nieprzerwanie pracuje. Ale już dziś wiemy, że nie było to życie łatwe, bo znaczyły je lata wytężonej pracy i walki w szeregach PPS, SDKP i L, w konspiracyjnej wreszcie działalności KPP. Lata dorywczej pracy i głodu, prześladowań i więzień, przede wszystkim zaś lata nieustannej służby dla klasy robotniczej, wiecznego niepokoju sumienia, uparcie szukającego prawdy i drogi.

Lucjan Rudnicki — to kandydat na posła, wywodzący się z najszczytniejszej naszej spuścizny, spuścizny polskiego proletariatu. Arka przymierza między dawnymi a młodszymi laty. Jako wybierający po raz drugi w naszj odrodzonej ojczyźnie głosuje za ciągłością tej tradycji, którą sam tworzył. Jako wybierany — potwierdza słuszność drogi, po której kroczył.

Ryszard Hładko

NIECH będzie pozdrowiony dzień WYBORÓW

Wielki zjazd narodu

WYBORY 26 października będą jakby wielkim zjazdem całego narodu. Jakby się tak naraz odbyły wszystkie zjazdy spółdzielców, kobiet, techników, rad terenowych, przodujących chłopów, niby jeden wielki Kongres Ziem Odzyskanych co nie tylko są na Zachodzie ale w całym kraju, bo w całej Polsce chłop odzyskał ziemię macierzystą.

Z tą tylko różnicą, że na ten Zjazd w większości pomaszerujemy. Ale nie będzie to marsz, jak przed wojną, głodujących i bezrobotnych pod magistrat. Będzie to marsz sytych i mających pracę. Marsz obywateli rządzących jednomyślnie.

— Do tego tytułu — obywatela i ja roszczę sobie prawo. Z początku w Ujeździe Górnym w powiecie Środa było mi ciężko. Ale dzięki władzy ludowej w 1946 r. wjechał na moje pole traktor. Już miałem lepszą nadzieję. W 1947 r. otrzymałem od państwa konia. Już byłem pełnej nadziei. A dziś na moich 7 ha mam 3 krowy, konia, 6 tuczników, 50 sztuk drobiu. Dziś już odstawiłem na 3 tony zboża — 3 t. 600 kg., na 380 l mleka oddałem już 1870 l a do nowego roku oddam ponad 2000 l. Plan mięsny wykonałem a dodam jeszcze 4 tuczniki, ziemniaków przypada na mnie 2100 kg — dam 2500 kg. Należności pieniężne uregulowałem już we wrześniu.

Idę więc z czystym sumieniem do Wyborów. Pójdą też moi sąsiedzi, bo wszyscy stanęli na nogach i u nas podniosła się wydajność z hektara od 3 do 6 q. Tak też będzie w naszej okolicy. Jedyna gromada, Piermo, która wlokła się na szarym końcu, też przyśpieszyła kroku. Tam, sam pan sołtys Józef Jaworski nie wywiązał się należycie i jego kumotry. Takich przywódców Piermo nie potrzebuje i nie pod ich przewodem pójdzie do Wyborów.

Władysław Wojtowicz
Ujazdów Górny — pow. Środa

Choćby to było 100 km...

CHOCBY to było 100 km., pójdę do urny wyborczej dać głos za Frontem Narodowym. Bo pomnę, jak to w sanacyjnej Polsce wędrowali moi rodzice od folwarku do folwarku, od kułaka do kułaka. Ojciec ciągnął na postronku krowę, a na plecach dźwigał najmłodsze dziecko. Matka w zawiniątku niosła cały sprzęt domowy a drugą ręką sterowała stadkiem starszych dzieci. Taką to wędrowną rodziną szliśmy w życie bez nadziei.

Kiedy się ożeniłem żona krzyczała aby nasze dzieci nie miały cygańskiego żywota. Ale próżne było wołanie. Najpierw na Sejmie Witosowcy chcieli dać ziemię na wysoki wypłat, czyli kułaków zrobić królami na wsi, Brylowcy żądali bez wykupu. Ale to wszystko była szachrajka, skoro obszarnicy folwarki utrzymali i chłop biedny ziemi nie zobaczył. Taka Polska wreszcie się w próchno rozsypała. Bo kiedy hitleryzm podeptał naszą ziemię i spróbował postawić swój but w kraju Socjalizmu, radziecki naród przegnał precz od siebie i z Polski obce i nasze zaprzaństwo.

Odbyłem ostatnią wędrówkę na Ziemie Odzyskane. Zakorzeniłem wreszcie moją rodzinę. Skończyło się pohańbienie w jakim żyli moi rodzice i ja szmat czasu. Dzisiaj mam krowy, jałówki i konia. Córce w zamężcie podarowałem krowę na szczęście. W tarnopolskim województwie było może dwie cukrownie, tutaj po kilka w powiecie. Wtedy żaden chłop niczego nie kontraktował, dzisiaj władza robotniczo-chłopska wlała w nasze głowy rozum. Kontraktację buraka, len, konopie, rzepak. Dzisiaj jestem obywatelem. Dzisiaj dzień do dnia niepodobny, a każdy prowadzi wprzód. Toteż ani o krok nie odstąpię od linii Partii i Rządu, co prowadzą nasz naród do potęgi i uczciwości.

Tutaj też, na Ziemiach Odzyskanych dokonam żywota mojego. Ojczyzno ty nasza!

Piotr Powszek
Piskorzyna — pow. Wołów.

Kto mnie wygnał?

KTO wygnał mnie w 1913 r. za granicę? Nędza! Byłem synem fornale, rodem z Zagościa w Pińczowskiem. Otaczału nas wokół folwarki margrabiego Wielopolskiego. Ród jego podobno na interesach kapitalistycznych dopiero sto pięćdziesiąt lat temu dorobił się herbu arystokracji. A ja na tych interesach dorobiłem się losu emigranta bez ojczyzny. W 1913 pojechałem do Szwecji i tam pracowałem jako robotnik rolny. W 1919 r. wróciłem do kraju, bo pisali, że Polska Niepodległość odzyskała. Ale bogać tam. Od pierwszej chwili widziało się, jak sprzedawali wolność, jak handlowali majątkiem narodu. Kiedy Piłsudski zrobił zamach majowy, dla takich jak ja biedaków w „Niepodległej" miejsca już nie było.

Kto wygnał mnie w 1926 r. do Argentyny? Nędza! Po czterech latach uciekłem z tego piekła do kraju. Były to lata kryzysu, najgorsze lata przedwrześniowe.

Kiedy myśmy po wyzwoleniu szli na Ziemie Odzyskane — Polaków, którzy podczas okupacji walczyli na Zachodzie, gnano do Australii, do Ajryki albo wprost do kopalń brytyjskich. Kto ich tam gnał? T.zw. rząd londyński. Jeszcze nie dawali Polakom ojczyzny. Kiedy myśmy zagospodarowywali Śląsk Opolski, Mikołajczyk głosował na „nie". Jeszcze ten sługus dolara i szterlinga odbierał chłopom i robotnikom ziemię ojczystą. Aleśmy oczyścili ruch ludowy z bakcyli mikołajczykowskich i ugruntowali pod przewodem klasy robotniczej władzę ludu i wolność narodu.

Dzisiaj budujemy Polskę silną jak nigdy w historii.

Emigranci, których wypędzano z ojczyzny! Sezonowi, których gnano na Saksy i do Brandenburgii, których pędzono po kraju jak dzikie ptactwo! Małorolni, którym ziemię ojczystą wyrywano spod pługa! Legionie bezrobotnych bez miejsca i pracy w Polsce kapitału — Wy wszyscy prowadząc dziś wieś polską do Wyborów wołajcie: chłopie polski, strzeż jak źrenicy oka Ojczyzny wolnej, ojczyzny ludu pracującego!

Piotr Żmuda
Sadlno — pow. Ząbkowice Śląskie

Głos żołnierza

JESTEM żołnierzem Wojska Polskiego. Stoję na straży pokoju i rozkwitu naszej Ojczyzny. I gdyby mnie ktoś zapytał: chłopcze, nie powtarzaj jak z nut tego, coś wyczytał o wielkim Planie 6-letnim, powiedz — jak w Twojej wiosce? Odpowiedziałbym — w mojej wiosce, jak w całej Polsce robotników i chłopów. Moja wioska zwie się Przeginia, leży w powiecie olkuskim, gdzie przed wojną marli chłopi na głodnym zagonie. Na 1000 ha żyło 300 rodzin a 2000 ludzi. Najbogatsi posiadali tu 7 ha, większość 1 — 3 ha piasku pod Błędowską Pustynią. Na 2000 ludności ledwie 5-ciu pracowało w olkuskiej fabryce, w szkołach uczyło się czworo z bogatszych rodzin. Opisał wstrząsająco nasze strony Józef Pogan. Ja dodam, że nawet do kościoła chodzili ludzie boso. Gdybym wówczas był żołnierzem a miał pełną świadomość polityczną, czułbym się żandarmem ludu, któremu wetknięto broń, aby służył burżuazji przeciw ludowi i doczekałbym się wrześniowej zdrady tych, co kazali żołnierzowi przysięgać.

Ja mam to szczęście, że jestem już żołnierzem Odrodzonego Wojska Polskiego, Wojska Ludowego. W mojej wiosce płonie dziś światło elektryczne. 300 osób pracuje w Zagłębiu i na Śląsku w hutach i kopalniach. Ponad 100 na wielkich budowlach socjalizmu, w Nowej Hucie, Bolesławiu i Krzeszowicach. Prawie 200 córek i synów chłopskich uczy się w szkołach średnich i zawodowych. Wielu już należy do kadr naszej nowej inteligencji. We wsi jest biblioteczka, GOM, GS, poczta, telefon, w pobliskich Jerzmanowicach mechaniczna spółdzielnia rzeźbiarska, która zatrudnia wielu dawnych chałupników. Bieda olkuska należy już do bezpowrotnej przeszłości.

Na straży takiej to wioski stoję ja — jej syn, żołnierz Wojska Polskiego.

I duma rozpiera moje piersi i miłość i siła, którą w żołnierza dziś wlewa jego rodzinna wioska, jego ojcowska fabryka i miasto, skąd rodem.

Ja żołnerz Wojska Polskiego dlatego stoję teraz na straży rozkwitu mojej ojczyzny i we mnie tkwi siła naszego narodu, który przez osiem lat tyle już zbudował i nie spocznie w tej pracy, aby za przykładem Związku Radzieckiego uczynić Polskę mocną, szczęśliwą, socjalistyczną. Taki jest nasz wspólny Program Wyborczy — żołnierza z miasta i mojej wioski, która w najbliższym czasie zamierza zorganizować spółdzielnię produkcyjną, wybudować Dom Kultury i dokończy budowę drogi, łączącej najkróciej Olkusz z Krakowem.

st. szer. Edmund Piekarz

JAN CZARNY

WRZUCĘ SWÓJ GŁOS DO URNY

Zeby nie błąkać się pośród ruin
pod czarnym niebem,
by w obcym kraju głodów nie sycić
Aby nie wracać drogami wojny
żebraczym chlebem
do pustych mieszkań,
z których nad świeże groby najdroższych
prowadzi ścieżka.
By nie płakały w studni suteryn
gruźlicze dzieci,
gdy ojciec nocą stuka w kopyto,
kaganek świeci.
Aby nie mierzył w pierś bezrobotnych
stalowy bagnet,
dla jednych życie nie było sjestą,
dla drugich, bagnem.
By dzieci miały przyszłość jak światła
na MDM-ie,
by kwitły miasta, traktor przemierzał
spółdzielcze ziemie.
By krzywa planów, drzewo czerwone,
rosła do góry
i cały kraj był pięknym pałacem
pracy, kultury —

Wrzucę swój głos
do urny.

PIOTR WYROBEK — chłop z Osielca

W 83 ROKU ŻYCIA

Nim jeszcze byłem w szkole
(nigdym o niej nie słyszał)
mój ojciec mi na stole
litery kredą pisał.

Gdy napisał rząd cały
liter dużych i małych
nazywał je: a - be - ce -
i pokazywał palcem.

Trudne w niewoli było
to nasze życie chłopskie,
jednak przez kordony szło
wskazać drogę do Polski.

Dziewiąty krzyżyk dźwigam
lecz czasem tak niechcący
do pióra się zabieram
i jakoś wierszyk sklecę.

I cieszę się, że jeszcze
mogę w Polsce Ludowej
napisać o Niej wierszyk
żem w Froncie Narodowym.

Staremu sprawia radość
życie Polski Ludowej,
że może w wyborach stanąć
we Froncie Narodowym!

Na naszą przyszłość

MOJA wieś Nowo-Berezowo leży w pobliżu Puszczu Białowieskiej. Tam do niedawna chłopi chodzili brodaci, jak żubry, tam nędza i ciemnota czyniła nas podobnymi do dzikich zwierząt. Tutaj była Polska B. Tutaj, choć przyszło najwcześniej wyzwolenie — najdłużej krył się i kąsał wróg. W naszej okolicy z rąk NSZ-owskiej bandy „Burego" padło wielu działaczy Partii i ZMP. Myśmy najdłużej przechodzili okres walki z kontrrewolucją zbrojnych band. Może dlatego Białostockie powoli zrozumiało rzecz tak ważną, że rozwój całego kraju i wszystkich ziem postępować musi planowo a więc w kolejności, o której decyduje budowa fundamentów naszego dobrobytu: ciężki przemysł. I na naszą ziemię przyjdzie kolej. I ją uzbroi wielki przemysł i wielkie kanały spławne. To jest nasza przyszłość. I na nią my będziemy głosować we Froncie Narodowym. Bo dla synów, którzy poszli do wyższych szkół, nasi ojcowie nie oczekują tylko posady. Moja wieś wydała już inżyniera-agronoma, wydała już inżyniera-elektryka, inżyniera samochodowego, profesorkę, inżyniera-architekta L. Jaroszewicza. W Gliwicach na Studium Przygotowawczym są przyszli inżynierowie hutnictwa, synowie biedniaków — M. Bocianowski i Pietruszewski. Nasi ojcowie widzą w nich namacalnie kadry nowego budownictwa. Ludzi, których Polska Ludowa powołała do stworzenia ojczyzny potężnej i bogatej.

5-tego sierpnia br. zorganizowaliśmy spółdzielnię produkcyjną w naszej wsi. Weszło do niej ponad 20-tu członków. Matka moja pierwsza podpisała statut. Ojca musiałem przekonywać. Ale przekonałem. Do naszej spółdzielni wrócił syn średniaka, Mikołaj Hiaszuk, jako inżynier-agronom, pracować dla nas i dla gminy.

Idziemy głosować na naszą wspaniałą przyszłość. W nas jest siła nowego, która pomoże stać się naszym Planom krwią i ciałem. Niech żyje sojusz robotniczo-chłopski!

Mikołaj Moroz
Nowo-Berezowo — gm. Hajnówka.

Wolne wreszcie wybory

Z mojego punktu widzenia dopiero teraz, w Polsce Ludowej, mamy wolne wybory. Bo za sanacji? Jak było głosować na komunistów kiedy taki kandydat, gdyby się ujawnił, zaraz by go pochłonęło więzienie. A listy Partii pod każdym pozorem były unieważnione. Głosować za endecją, za obszarnikami i fabrykantami? Znaczyło to powróz kręcić na szyję ludu wsi i miast. Głosowaliśmy na Stronnictwo Ludowe. Ale chociaż, jak w 1935 r. nastraszyliśmy górę, bośmy żądali na Kongresie reformy rolnej, unarodowienia przemysłu, banków i lasów, ale góra trzymała za jedno z burżuazją. Mikołajczyk już się ćwiczył w marszu do Londynu i Waszyngtonu. Było jeszcze czwarte wyjście: bojkotować wybory i tośmy nie raz czynili, choć nam groziły administracyjne szykany, więzienia i pacyfikacje. Ale dla tych, co trzymali naród „za mordę", co znaczył bojkot narodu, póki mieli władzę i siłę zbrojną? Póki tym „mianowańcom" tytuł rządzicieli dawali ich panowie z Hitlerii, Anglii i Ameryki.

A jak im tytuł odebrali w 1939 roku przez najazd na Polskę, uciekli drogą na Zaleszczyki, aby znów im służyć, kiedy naród będzie się wyzwalał, kiedy lud — nie daj boże — spróbuje bić się o rządy robotniczo-chłopskie.

Co oni wyrabiali przed wojną nie z tysiącem ludzi, nie ze stu tysiącami a z 30 milionami? Dwa więc były fronty, jeden tych dzierżymordów i drugi — milionów Polaków, front narodu bez prawa wyboru.

Dziś front tych krwiopijców na emigracji liże nogi naszym wrogom — imperialistom. W kraju pozostał, w kraju panuje Front ludu pracującego, Front Narodu, ten co dawniej gnębiony, dziś wolny i w jedności sto razy bardziej pogłębiony, bo za nami już wielka droga nowego życia, a przed nami zamiary i plany Polski potężnej i szczęśliwej.

Do takiej my Polski idziemy. W maleńkiej wiosce Oraczewice naszym Czynem Wyborczym było założenie spółdzielni produkcyjnej. Siewy jesienne wykonaliśmy przed terminem. Zboże odstawiliśmy ponad plan. Sołtys Józef Dybka w 226 proc., Adam Czyż w 190 proc., Stefan Chwiałkowski w 172 proc. Tak idą do Wyborów ludzie wolni!

Anna Dybka
Oraczewice, pow. Choszczno

Cześć ci, głowo robotnika!

NIECH będzie pozdrowiony dzień Wyborów Frontu Narodowego! Będziemy głosować w punkcie wyborczym, w tym samym miejscu w Olbierzowicach, gminie Jurkowice (powiat Sandomierz), gdzie przed laty rozdzielano nas w różne strony. Stanął przed kościołem na trybunie poseł endeków i obiecywał drogę do nieba i raj na ziemi. Ale chłopi nie dali się okłamać i ściągnęli go z trybuny. Wszedł na trybunę działacz, robotnik rolny i... padł strzał a po chwili pocwałowała bryczka. To student z dworu strzelił. Bryczkę my zatrzymali, on na plebanię. A tam proboszcz tarasuje wejście i tłumaczy:

— Ludzie posłuchajcie, co wam powiem. Komu wierzycie? Temu cyganowi fornalskiemu? Chłop przecież Polską nie może rządzić. Ma nogi i ręce, brzuch i tyłek, ale głowy nie ma do rządów.

Za co to nas miały szlachta, duchowieństwo i kapitaliści.

Ale się pokazało wreszcie, że rządzi i potrafi rządzić głowa robotnika, dobrego gospodarza i nauczyciela, Bolesława Bieruta, opiekuna całego narodu. Pokazało się, że przy nim wspólnie potrafią rządzić głowy robotników i chłopów. Bo cośmy już wybudowali, temu wieki całe nie poradziły za pańskich i burżuazyjnych rządów. Pokazało się, że ręce i nogi, brzuch i tyłek tyle tylko mają nasi dawni krwiopijcy. O, mają jeszcze zęby, mają jeszcze plwociny, mają żagiew do podpalania stogu, mają dolary na zdradziecką robotę. Ale my mamy głowę, a w niej czujność! Mamy serce, które kocha to, co zdobyliśmy pod przewodem klasy robotniczej i nie damy sobie wydrzeć z rąk naszego, które jest i które stanie naszymi zbudowane rękami i naszą głową.

Stanisław Bugała
Pokrzywianka — pow. Sandomierz

Z czystym sumieniem

MY chyba do urny wyborczej pójdziemy śpiewając „Szumią jodły na gór szczycie". Bo odbył się niedawno w naszej Żółkiewce koncert. Przyjechała orkiestra z Filharmonii z Warszawy i artysta opery, Michał Szopski, śpiewał „Szumią jodły na gór szczycie". To jest pieśń z opery „Halka" Moniuszki. Ludu było tysiąc. Popłakali się chłopi z zachwytu i ze wspomnień. Oj, dolo nasza dolo, jakaś była jeszcze niedawno. W 1922 roku sam byłem agitatorem PPS-u. I jakiem wziął cięgi z ambon! A i tak się na nic nie przydały nasze nadzieje, bo nas na Sejmie w pole wywiedli pepesowcy, basując Piłsudskiemu.

W 1935 r. sołtysi rozdali po wsiach numery za sanacją. A kto w lokalu chciał do koperty włożyć inną kartkę, zaraz policja zaglądała i wyrzucała z lokalu, a potem byłeś... komunistą. I choć głosowało 40 proc. ludności — szwindle takie porobili, że im wypadło o 11 głosów więcej, niż było w ogóle ludności.

Ale w 47 roku nasza była już wygrana. Wszyscy szli głosować i to gdzie? Do lokalu po jaśnie panu dziedzicu Janisławskim! Takżeśmy zatwierdzili nowe, planowe życie naszego Narodu. Bo zaraz się zaczął Plan 3-letni, a teraz podciągamy Plan 6-letni.

U nas teraz po suszy letniej, kiedy spadły deszcze, odmłodziły się na polach kartofle i kwitną. Wykopki mamy więc opóźnione, ale będzie co zbierać. W naszej gminie gromady takie jak Koszarsk, Chlaniewek i Różki dawno już plan skupu wypełniły. Ale i ostatnie, jak Huta, Adamówka i Wierzchowina chcą do wyborów pójść z czystym sumieniem. I pójdą z czystym sumieniem aby robotnicy wiedzieli że razem z nimi chłop polski dzisiaj potrafi budować szczęśliwą przyszłość dla dzieci naszego ludu, dla naszego narodu!

Kazimierz Łukasz
Żółkiewka — pow. Krasnystaw

ALBIN BOBRUK

NIE SAMO PRZEZ SIĘ...

W JEDNYM z filmów radzieckich jest scena, w której członek partii podczas rozmowy z dorastającą dziewczyną chce poznać jej sąd o życiu. Mówiąc z nią o codziennych sprawach, dochodzi do wniosku, że bujne i bogate życie kraju przyjmuje ona inaczej niż on. Mniej pełnie, bez wnikania w przyczyny, jakie zrodziły beztroską i radosną młodość. Chcąc wyostrzyć jej spojrzenie wskazuje otwarte okno i pyta —

— Powiedz mi co widzisz w tej chwili?

Dziewczyna długo patrzy przed siebie, potem wzrok swój przenosi na pytającego i z zakłopotaniem odpowiada.

— Nic nie widzę.

— To nieprawda. Widzisz gwiazdy świecące, drogę mleczną — tysiące wielkich i zagadkowych ciał,

— Aaaa. Czy o to wam chodzi, towarzyszu? Przecież to jest zrozumiałe samo przez się.

Podobnie sądziła ona o życiu społecznym, kiedy on pamiętał inne życie, z trudem zdobywane jego kęsy.

Zdaje mi się, że tak samo przez się rozumiejącą się rzeczywistością jest dziś u nas uczestniczenie w budownictwie tysięcy fabryk, zakładów, nauka dostępna dla wszystkich, pokój i zamierzenia na przyszłość. I to jest dobrze, to różni ludzi naszych od ludzi żyjących w ustroju kapitalistycznym. W tym kryje się sens dokonywanych w Polsce przemian.

Ale z przytoczonej lekcji płyną dziś dla nas inne także jeszcze wnioski. Ciągle trzeba przypominać cenę jaką płacił naród ustrojowi poniewierki człowieka, kapitalistyczno - obszarniczemu państwu i pokazywać zdobycze, które osiągnął po usunięciu tego ustroju Wtedy tylko nasze dzisiaj i jutro nasze ukaże się w całym swoim pięknie i sile. Za wcześnie jeszcze na wyłączność zasady: samo przez się. Trzeba dodać do niej pozostające w pamięci lata i opłatę za prawo uczestniczenia w wolnych wyborach, do jakich dziś doszliśmy Uzupełnić ją trzeba czujnością w stosunku do planów wroga, tego w naszych granicach i nasyłanego w nasze granice. A wówczas jeszcze bardziej porwiemy MDM-mem, Nową Hutą, Żeraniem, spokojnym krokiem ludzi na drogach wiejskich i ulicach miast, mocno jak gwiazdami, na które co dzień patrzymy.

Miliony Polaków idzie dziś do urn wyborczych. Każdy z nich niesie cząstkę naszej historii i swoją własną. Niesie wszystko, co ma najlepsze. Mądrość swoją i miłość do kraju. Z nich powstaje fundament pod przyszłe dni Ojczyzny — Front Narodowy, kamień węgielny pod każdy dom i wiecha na strop. Stąd róść będzie szczęście, które stanie się proste, codzienne i tak naturalne jak rozumiała je owa radziecka dziewczyna.

Albin Bobruk

EDMUND NIZIURSKI

NAJSILNIEJSZE ARGUMENTY

W październiku, zbierając materiał do powieści, odwiedziłem między innymi kopalnię rudy miedzianej w woj. Kieleckiem. Poznałem wtedy starego górnika z drugiej zmiany Michała Pęczkiewicza. Pierwsze moje z nim spotkanie miało miejsce na dziedzińcu kopalni. Pęczkiewicz, ubrany w nieprzemakalną kurtę z kapturem przetykał mozolnie zatkany palnik karbidówki. Stalowy drucik nie mógł trafić do mikroskopijnego otworu.

— Oczy już nie dopisują — podniósł suchą jakby przyprószoną pyłem wapiennym twarz.

Pomogłem mu przeczyścić palnik i od słowa do słowa rozgadaliśmy się.

Pęczkiewicz urodził się w pobliskiej wsi, Głowatkowie. Ojcowie mieli pięć mórg gruntu — takiego jak wszyscy w tych stronach: piasek i skała. W piętnastym roku życia, kiedy austriaccy okupanci nękani brakami surowcowymi rozbudowali starą kopalnię rudy zaczął pracować na dole. Płacili koronę dziennie. Tyle, ile kosztował bochenek chleba. Po Austriakach zaczął dłubać w kopalni dawny jej właściciel, dziedzic Łaszczyński — ale dał spokój. Nie miał pieniędzy na inwestycje, a dla kapitalistów zagranicznych prymitywna kopalnia nie była żadnym „byznesem". Światowy rynek miedzi opanowały amerykańskie monopole takie jak Brodden Copper. Jakaś tam kopalnia w Kieleckiem, nie była im potrzebna. Spotkał ją więc ten sam los co i inne „nieopłacalne kopalnie" — zatopienie.

Pęczkiewicz pozostał bez pracy. Dziedzic przerzucił się do kamieniołomów. Nieliczni „szczęśliwi" znaleźli tam gorzki chleb Do tych szczęśliwych należał i młody Pęczkiewicz. Był zdolny. Został wiertaczem. Pracował po dwanaście godzin dziennie. „Oczy zachodziły mgłą — wspomina — najgorzej było latem. Kazałem matce wychodzić co wieczór po mnie, bo już nie miałem siły, aby się dowlec samemu do chałupy".

Zarabiał więcej od innych. 16 złotych na dwa tygodnie. Trzeba było płacić przedsiębiorcy za materiał wybuchowy. Zdarzało się, że mniej zręczni górnicy „przestrzelali swój rachunek" i przy wypłacie musieli dopłacać przedsiębiorcy. Wypłaty odbywały się co dwa tygodnie w Kielcach. Przejazd pociągiem do Kielc kosztował tyle, ile wynosił dzienny zarobek. Po wypłacie trzeba było fundować majstrom i popić. „Inaszej nie szło".

W ciągu swego długiego życia Pęczkiewicz nie ruszył się z kamieniołomów dalej niż do Kielc. Poza Kielcami nie widział żadnego miasta. „Kto się dopominał o urlop — mógł dostać, ale na wieki wieków. Ludzie bili się o miejsce pracy. Trzeba było roboty trzymać się zębami". Ożenił się dopiero w 28 roku życia Rodzicom ciężko się było zdecydować wypuścić z chałupy jedynego żywiciela 9 osobowej rodziny.

Dopiero w 1949 roku wszystko zmieniło się w życiu Pęczkiewicza. Kiedy rozeszły się słuchy, że kopalnia rusza, Pęczkiewicz zgłosił się jeden z pierwszych, bodaj jedyny ze starych górników, którzy pracowali tu przed 30 laty. Bo trzydzieści lat czekał górnik Pęczkiewicz na pracę w „swojej kopalni". On jeden doczekał się. Inni nie. Zabrał ich wcześnie reumatyzm i pylica. Pracowali w wodzie, bez gumowych butów, bez masek. „Dzisiaj inaczej.... odzież nieprzemakalna, buty gumowe — i bezpieczeństwo, człowiek w cenę poszedł."

Od 1949 roku Pęczkiewicz nie opuścił ani jednej szychty. Jako doświadczony praktyk - fachowiec pracował przy budowie nowego szybu sztolni i prochowni w najtrudniejszych warunkach (kurzawa) wymagających ostrożnego i umiejętnego strzelania. „Dzisiaj zarobię przez szychtę nie na jeden bochenek chleba — ale chyba na piętnaście" — śmieje się.

Wkrótce Pęczkiewicz pojedzie na wczasy. Pomyślmy. Po raz pierwszy w życiu naprawdę odpocznie. W najpiękniejszym zakątku Polski, otoczony opieką i szacunkiem.

„Najwięcej to cieszę się z moich dzieci, a mam ich siedmioro — zwierza się. — Najstarsze już pracują na kopalni. Swój chleb jedzą. Młodsze chodzą do szkół. Najmłodsze uczy się dopiero mówić, ma dwa lata. Jak się urodziło, ludzie na wsi się śmieli, że na starość — dziecko, ale ja panie, mocno się jeszcze czuję, a zresztą dzisiaj nie strach. Gadał pan z tym młodym Kalinowskim — górniczy syn — 20 lat ma a już technik... Mnie to panie, jedno tylko gryzie... że nieuczony jestem. Do szkoły nijakiej nie chodziłem. Gdybym w piśmie był wprawny tobym dzisiaj więcej się przydał... a tak ciemny człowiek, panie... tylko ta pociecha, że dzieci już inaczej"...

Stary ma rację. Inaczej ukształtowują się dziś losy młodego pokolenia górniczego. No, choćby ów technik Kaninowski. Ojciec jego za młodu w „kryzysowych latach" szukał chleba w kopalniach Francji i Belgii. W 1930 roku wrócił do kraju z jednym doświadczeniem, że górnikom zawsze wiatr w oczy... Udało się mu uzyskać pracę w kopalni w Czeladzi. W 1937 roku został zredukowany i znalazł pracę dopiero w kamieniołomach pod Pińczowem.

Po tych doświadczeniach zabronił synowi pracy w górnictwie. Ale chłopak szybciej od ojca pojął zmiany, jakie zaszły w losie górnika. Kopalnia ciągnęła. Młody Kalinowski uciekł z domu na Śląsk do kopalni. A przed kilkoma miesiącami skończył technikum w Zabrzu. ,

Takie są losy starego i młodego pokolenia.

Mnie się zdaje, że to najsilniejsze argumenty wyborcze. Nie do odparcia.

Edmund Niziurski

Przez pamięć na nieprzebrane cierpienia ludzi, umierających długo i straszliwie w katowniach faszyzmu - jednoczymy się w dniu dzisiejszym, podejmując zobowiązanie - każdy w ramach swej pracy i swego zawodu - uczynić wszystko, by groźbę nowej wojny odwrócić.

ZOFIA NAŁKOWSKA

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

GDZIE DŁONIE BIAŁE...

I

Wśród wzgórz lubelskich rzucona perła,
w cieniu lip, wiązów, uroczo legła.
Ścieżka pod pałac stromo prowadzi,
słońce na liściach swą pieczęć kładzie,
mówią historii kamienne ślady,
wpisane szramą na murach bladych.
Tu echo kroków Małachowskiego,
marszałka sejmu czteroletniego.
Ptaki ćwierkają mową tą samą,
gnieżdżąc się ponad parkową bramą.
Kiedyś tu z nimi rozmawiał wierszem
poeta, tuląc słońce do piersi.

Autora „Lalki" kroki powolne,
w obłoczkach kurzu na dróżce polnej.
Krople się perlą i w pianie bledną,
widział Prus tutaj „lalkę" niejedną,
kiedy cień wiązów, lip i kasztanów,
osłaniał wczasy próżniacze panów.

II.

W domku na wzgórzu autor „Przedwiośnia"
w śladach pamiątek drobnych pozostał,
w przeźroczach okien blask się gromadzi,
by krzywych szabel pochwy wygładzić.
Widać stąd teraz Polskę szeroką,
dla której w przyszłość otwarły okno
ręce górników, chłopów, murarzy —
kraju dumny ze swych gospodarzy.

III.

Ten sam Nałęczów, te same lipy,
dęby, topole w rozmowach cichych.
A oto prawa inne i ludzie,
którzy spędzają chwile po trudzie,
gdzie dłonie białe,
rozbryzgi kropel w źródle chwytały,
gdzie dawniej „lalki" o gładkich licach,
w ścianach pałaców, porosłych bluszczem,
wczasy spędzają dziś robotnicy.

IV.

Autorze „Lalki", twórco „Popiołów",
czyjeż to oczy błyszczą znad stołu,
czyjeż to serca wzruszeniem płoną,
czyje to ręce strona za stroną...?
To serca, które w latach ubiegłych
tęsknotą rwały w byt niepodległy
i trzepotały się w ciasnej piersi,
gdy krew sztandarów w pochodach mieśli.
Wnuki Michałków tamtych, Obalów,
co zdobywali ziemię po calu,
dziś, odczytując zgłoski niedoli,
czują jak serce za przeszłość boli.

Będziemy twardzi jak stal błyszcząca,
z którą się promień pogodny łączy.
Będziemy czujni — wróg nas nie zwiedzie,
mocny krok Partii słychać na przedzie.

1952 r.

HELENA ZAWORSKA

„MINĄŁ I NIE WRÓCI NIGDY WRZESIEŃ 1939 R."

„WRZESIEŃ" Jerzego Putramenta jest właściwie pierwszą próbą ukazania szerokiego, wyczerpującego obrazu dni, w których rozpoczęła się druga wojna światowa, pierwszym spojrzeniem na ten okres z marksistowskiej partyjnej postawy ideowej, pierwszym ujęciem o ambicjach całościowego ogarnięcia podstawowych zagadnień i konfliktów tamtych wypadków. Stąd duże polityczne znaczenie tej książki, ukazującej klasowe korzenie klęski narodu zdradzonego przez sanację. Stąd jej mocna pozycja w naszej literaturze jako książki dającej realistyczny obraz dziś już historycznych faktów, napisanej z wielkim talentem, z wielką pasją demaskatorską w stosunku do sanacyjnych inspiratorów wrześniowej klęski, z wielką miłością dla ludu, bohatersko walczącego z niemieckim faszyzmem.

To, co w powieści Putramenta uderza najbardziej, co charakteryzuje jej ton, co sprawia, że książkę tę czyta się z wielkim wzruszeniem oraz poczuciem, że daje ona istotne świadectwo owego okresu jest właśnie ów piękny obraz bohaterstwa i patriotyzmu narodu. Naród jest właściwym, głównym bohaterem książki. Przerzućmy kartki powieści. Strony, na których zatrzymujemy się najdłużej, sceny, które wzruszają nas najbardziej, obrazy, które najdłużej pozostaną w pamięci to takie, jak wstrząsający opis ataku niemieckiej czołówki pancernej na bezbronne wobec niej, oddziały polskie, jak scena rozbicia niemieckiego czołgu przez cudownie uzdrowionego wysiłkiem woli robociarza Ignacego Krawczyka, jak bohaterska śmierć komunisty Walczaka, który po latach siedzenia w sanacyjnych więzieniach wyszedł na wolność po to, by bez wahania oddać swoje życie w walce z faszyzmem. Patriotyzm narodu, jego zdradzona wola obrony, jego zjednoczenie się na platformie walki z faszyzmem, oto zaznaczające się już we wrześniu wyraźnie kierunkowe rozwoju tych procesów społecznych, które w latach drugiej wojny światowej przyniosły wielkie dążności emancypacyjne mas ludowych jednoczących się i hartujących we wspólnym froncie walki z okupantem. Putrament potrafił ukazać istotny sens historyczny wypadków z 1939 roku. Na zdradę interesów kraju przez sanacyjnych klasowych karierowiczów odpowiedział naród bohaterską walką. Próba wojny wykazała prawdziwą wartość patriotyzmu. Ci, którym burżuazja go odmawiała, którzy latami siedzieli po więzieniach jako „wrogowie narodu" — komuniści, uwolnieni przez wojnę szli w pierwszym szeregu walczących z faszyzmem.

Doświadczenia wojenne demaskują mit sanacyjnego „prawie mocarstwa", otwierają oczy ludziom dawniej ślepym politycznie, ujawniają w formie bardziej oczywistej konflikty, które niedostrzegalne były dla ograniczonej ostrości ich politycznego widzenia. Rośnie uświadomienie polityczne i klasowe mas. Stary robociarz, Ignacy Krawczyk, uczestnik strajków, po raz pierwszy uświadamia sobie jasno iż popełnił błąd nie należąc do partii, rezygnując z bezpośredniej, aktywnej walki o ustrój, który wykluczyłby wrześniową klęskę. Porucznik Markiewicz, któremu nauczycielska bieda w Krasnem stępiła zainteresowania życiowe, a sanacyjna propaganda bez jego osobistego wysiłku rozwiązała zagadnienia społeczne i polityczne, po raz pierwszy zrozumie bzdurność i dętość oszukańczych frazesów, zobaczy w bezpośrednim doświadczeniu ostrość konfliktów klasowych i wreszcie, w rozpaczliwej rozterce do komunistów zwróci się po ratunek dla kraju. Anna Zaleska, gdy powróci z bezsensownej ucieczki pod gradem niemieckich bomb, nie rozpocznie zapewne znów dawnego życia, wyjałowionego niemal zupełnie ze społecznych treści. Każdy z tych ludzi zależnie od jego postawy oraz sumy doświadczeń społecznych, przechodzi na wyższy etap świadomości politycznej i klasowej. Na żywych, bliskim nam i zrozumiałych postaciach ukazuje Putrament wielki fakt dojrzewania politycznego całego narodu w ogniu wrześniowych walk. Szczery patriotyzm był w owych dniach elementem, który wykrywał antagonizm między narodem a klasą panującą. Jednoczenie się narodu we wspólnej walce, to dojrzewanie do zrozumienia konfliktów klasowych, to łączenie się z komunistami we wspólnym froncie przeciwko faszyzmowi było najważniejszym, bo wyznaczającym już kierunek przyszłemu rozwojowi zdarzeń, faktem historycznym. Ukazanie tego faktu, przetworzenie go w epicki obraz artystyczny, jest zasadniczą wartością powieści Jerzego Putramenta. Autor potrafił dostrzec źródła bohaterstwa tamtych dni, rozszyfrować klasowe podstawy owego patosu beznadziejnej lecz wytrwałej obrony, podjętej przez cały naród wbrew militarnej przewadze faszyzmu, wbrew „ciągłemu i zgranemu pchaniu ukochanej ojczyzny do katastrofy" przez sanacyjną klikę, wbrew zupełnemu nieprzygotowaniu kraju oszukańczo wykorzystywanego dla własnych, klasowych celów przez panów ministrów i generałów oraz całą kapitalistyczno-obszarniczą klasę.

„Wrzesień" Putramenta przypomina powieści Ilii Erenburga, ich wielowątkową akcją, bogactwem problematyki, śmiałym rozmachem w tworzeniu tła i zarysowywaniu konfliktów. Świadczy to o pewnej odwadze pisarskiej w podejmowaniu próby oddania całokształtu spraw danego okresu, może jednak również stanowić dla pisarza pewne niebezpieczeństwo. U Putramenta niebezpieczeństwem tym jest zbytnia równorzędność wątków, brak wysunięcia właściwego z nich na plan pierwszy. Chodzi przede wszystkim o komunistów, o środowisko robotnicze, które tematycznie potraktowane jest równorzędnie, a w pierwszej części nawet podrzędnie w stosunku do innych wątków, zwłaszcza wątku „góry" sanacyjnej. Wprawdzie do najpiękniejszych, najbardziej wstrząsających scen książki należą obrazy bohaterskiej walki narodu, ale tematycznie wyraźna jest przewaga części demaskującej sanację. Znaczenie polityczne tej demaskacji jest niewątpliwie ważne, a dla rozszyfrowania przyczyn wrześniowej klęski — konieczne. Ale zbyt wyraźne przesunięcie proporcji z obrazu działania i postawy komunistów na działanie i plotkę zdrajców narodu, zaciera jakoś kierunkową linię opisywanych wypadków, zubaża obraz września o głębsze ukazanie tych sił w narodzie, które podjęły i poprowadziły walkę z okupantem, łącząc ją z walką o nowy ustrój społeczny.

Postaci komunistów w książce Putramenta są nie tylko tematycznie drugoplanowe w stosunku do obrazu kliki sanacyjnej. Są również mniej żywe — mniej pełne i skończone w ich rysunku psychologicznym. O ile narastanie polskiego faszyzmu potrafił autor pokazać zarówno od strony rozszyfrowania politycznej i klasowej gry, jak i od strony psychiki oraz postawy moralnej rodzimych faszystów, o tyle obraz komunistów ograniczony został w książce do ukazania postaci, których głównym zadaniem jest reprezentowanie historycznej prawdy o udziale komunistów w walkach 1939 roku.

Wątkiem najbardziej we „Wrześniu" rozwiniętym, najbogatszym w szczegóły, najdokładniej opracowanym jest ukazanie obozu polskiego faszyzmu. Putrament ukazuje wszystkie zasadnicze przyczyny wrześniowej klęski: od sanacyjnej polityki prób przymierza z Hitlerem przeciwko Związkowi Radzieckiemu oraz storpedowania sojuszu obronnego z ZSRR w chwili, gdy wojna z niemieckim faszyzmem była już nieunikniona, aż po osobiste rozgrywki i gierki w walce o zyski, o możność korzystniejszego zaprzedania interesów narodu dla własnych korzyści klasowych przez sanacyjnych przywódców, pchających kraj do tragicznej katastrofy. W charakterystyce obozu sanacji autor nie pominął niczego, co oddawałoby degenerację klasy, która zerwała wszystkie więzy z narodem i przeszła do ofensywy przeciwko niemu. Świadomie osłabiała ona siłę obronną narodu dla „wielkiej kombinacji Becka" — dla sojuszu z Hitlerem przeciwko Związkowi Radzieckiemu i przeciwko ruchowi robotniczemu w kraju. Wobec wznoszącej się fali rewolucyjnej mas, faszyzacja zostaje przyjęta jako najbardziej bezkompromisowa forma walki z rewolucyjnym ruchem. W warunkach rozwiniętego imperializmu światowego, przy jednoczesnym, coraz wyraźniejszym zagrożeniu pozycji klas wyzyskujących przez walczący proletariat — zerwanie tych klas z narodem, zaprzedanie niepodległości za cenę zachowania swej uprzewilejowanej pozycji klasowej jest wyznacznikiem ich polityki. Dla ministra Burdy-Orzelskiego pojęcie narodu równa się pojęciu pionka, który na wielkiej szachownicy kapitalistycznych interesów można przestawiać, tak, by wygrać jak najzyskowniejszą partię. Ten „prawie premier prawie mocarstwa", oficjalny patron hasła „ani guzika" decyduje się bez wahania na spełnienie wszystkich żądań terytorialnych Wielkiej Rzeszy wzamian za utrzymanie swojego stanowiska.

Demaskacja klas rządzących Polską przedwrześniową przeprowadzona jest przez Putramenta na wszystkich odcinkach. „Wojskowym" odpowiednikiem Burdy jest członek sztabu głównego, pułkownik Rąbicz. Ten zapatrzony w swoją karierę wojskową, niepokojący się przede wszystkim o to, by rozwój wypadków nie rozwiał jego sławy wspaniałego stratega, tworzy plany, którym w niczym nie odpowiada istotna rzeczywistość, wygrywa wszystkie osobiste wpływy i prywatne antagonizmy, drży przed utraceniem własnej pozycji. A za plecami zarozumiałego bałwana czai się zdrada, czai się sprzedajność skaptowanej przez Hitlera „dwójki".

Zdemaskowania sanacji Putrament nie ograniczył do ukazania jej wrogiej polityki i klasowej zachłanności zysków. Osądził ich nie tylko jako polityków i dyplomatów. Osądził ich również jako ludzi, wykazał ich nicość moralną, nędzną płaskość ich programu życiowego, płaskość afer, które knuli przez szereg lat. W chwili katastrofy wrześniowej Burda „ujrzał z olśniewającą jaskrawością, jak droga mu jest właśnie ta gładkość doczesnego żywota. Jak błahe w gruncie rzeczy jest w porównaniu z tym wszystko inne. Ambicja, duma, honory osobiste, grupowe, narodowe." Spoza postawy polityka, męża stanu, dyplomaty wysuwają się najbardziej płaskie wyznaczniki postępowania i stosunku do świata. Tak i w książce spoza ogranej już oceny „zdrajcy narodu" i „rodzimi faszyści" wyglądają twarze konkretnych ludzi, ich cechy charakteru, ich nicość moralna, ich nienawiść do ludzi, miłość do „naoliwionego posłuchu", ich strach przed utratą pozycji „na świeczniku", komfortowych mieszkań i reprezentacyjnych kochanek.

Na demaskację trybu ich życia oraz postawy moralnej jest jednak niekiedy we „Wrześniu" położony zbyt silny nacisk. W całościowym obrazie książki sceny peryferyjne z ministerialnymi i generalskimi kochankami zajmują proporcjonalnie zbyt dużo miejsca.

Umiejętność jednak ukazania wrześniowej klęski zarówno od strony słusznie interpretowanych faktów historycznych o zasadniczym społecznym i politycznym znaczeniu jak i od strony specyficznej atmosfery, oddanej przez autora wiernie i sugestywnie sprawia, że książka jest żywa, ciekawa od pierwszej do ostatniej strony, a w wielu momentach wstrząsająca. „Wrzesień" jest ważnym politycznie i sugestywnym artystycznie obrazem minionych, niepowtarzalnych już w naszej Ojczyźnie dni klęski, z której naród nasz wyciągnął historyczne konsekwencje.

„Minął i nie wróci już nigdy wrzesień 1939 r. minęła i nie wróci nigdy hańba bezsilności naszego kraju wobec najeźdźców". (Bolesław Bierut)

Helena Zaworska

ANDRZEJ SKIBA

NARODY ZAPISUJĄ KARTY DZIEJÓW

PRAWIE do końca II wojny światowej Partia, która zdobyła władzę, która zlikwidowała ucisk kapitalistyczny i obszarniczy, niemal w osamotnieniu spełniała rolę awangardy ludzkości. Dotąd tylko Związek Radziecki przodujący kraj przodującej idei stanowił „brygadę szturmową" świata.

Na XVIII Zjeździe Partii mówił Stalin — „Jeśli sukcesy klasy robotniczej naszego kraju — jeśli jej walka i zwycięstwo posłużą do tego, by zagrzać ducha klasy robotniczej krajów kapitalistycznych i wzmocnić w niej wiarę we własne zwycięstwo, to partia nasza może powiedzieć, że pracuje nie nadaremnie. Nie ulega wątpliwości, że tak się właśnie stanie".

Od XVIII Zjazdu upłynęło 13 lat. Dziś na obszarze od Chin i Korei do Czechosłowacji, Polski i NRD rozwinął się front nowych „szturmowych brygad" w postaci krajów ludowo-demokratycznych.

Dziś 600 milionów ludzi buduje socjalizm czerpiąc natchnienie, siłę i przykład z wielkich budowli komunizmu, z uchwał XIX Zjazdu — programu walki i programu zwycięstw.

Znamieniem zaś odchodzącej historii świata jest dziś to, że wszędzie, gdzie jeszcze rządzi kapitalizm, burżuazja sprzedaje za dolary prawa i niezawisłość narodów, że wyrzuca za burtę bezapelacyjnie jeden po drugim te same sztandary wolności swobód burżuazyjno-demokratycznych — równości i braterstwa, sztandary niezawisłości i suwerenności narodowej, które ongiś wniosła, stając na czele zrewoltowanych ludów.

Toteż znamieniem idącej coraz szybciej w przód historii świata jest to, że dziś sztandary wolności, równości i suwerenności narodów podejmują przyszłe „brygady szturmowe" — partie komunistyczne i demokratyczne uciskanych narodów. I tylko one mogą i podnoszą te sztandary, bo nie ma już poza nimi nikogo, kto mógłby tego dokonać. A wzór, przykład i pomoc Związku Rad oraz wzór, przykład i pomoc nowych „brygad szturmowych" jest im drogowskazem i ułatwieniem w pracy.

Dlatego na XIX Zjeździe mógł Józef Stalin powiedzieć: „istnieją wszelkie podstawy, by liczyć na sukcesy i zwycięstwo bratnich partii w krajach, w których panuje kapitał". Dlatego też takim optymizmem brzmi potężny odzew wszystkich narodów świata.

✠

Mao Tse-tung—Chiny: Każdy krok postępu na świecie wiąże się nierozerwalnie z istnieniem i rozwojem Związku Radzieckiego. Zwycięstwo rewolucji chińskiej i osiągnięcia trzech lat, jakie upłynęły od powstania Chińskiej Republiki Ludowej, dowodzą, że tam, gdzie — uwzględniając konkretne warunki danego kraju — nauka Marksa - Engelsa - Lenina - Stalina jest stosowana właściwie — tam zwycięstwo zawsze jest pewne".

A. Gopalan—Indie: „Narody świata, a wśród nich Indie, widząc coraz wyraźniej cechy znamienne dwóch przeciwstawnych obozów. W tym roku, roku głodu, Związek Rad i Ludowe Chiny udzieliły nam skutecznej a bezinteresownej pomocy, podczas gdy spekulanci amerykańscy sprzedawali nam zgniłą pszenicę. W Związku Rad i całym obozie demokracji narody widzą przyjaciół, wiernych i bezinteresownych, obrońców wyzyskiwanych i uciśnionych całego świata. Widzą w rosnącej sile tego obozu gwarancje pokoju, wolności, demokracji i socjalizmu. W obozie imperializmu widzą rosnący kryzys gospodarczy, spadek poziomu życia, bezrobocie, ucisk, reżim policyjny i wojnę".

Pak Den Aj — Korea: „W walce z najeźdźcą amerykańskim naród nasz nieprzerwanie doznaje braterskiego poparcia ze strony wszystkich miłujących pokój narodów, poparcia które jest wspaniałym przykładem proletariackiego internacjonalizmu. Wojna dowiodła, że nie można powalić na kolana narodu, który zaznał wolności, a który wspiera się na braterskiej pomocy obozu demokracji ze Związkiem Radzieckim na czele".

Luis Carlos Prestes — Brazylia: „Każdy krok Związku Radzieckiego na drodze do komunizmu jest także krokiem naprzód w walce wszystkich narodów o pokój, demokrację i socjalizm. Dla narodu Brazylii Kraj Socjalizmu jest nadzieją i życiem".

Victorio Codovilla — Argentyna: „Wśród narodów Ameryki Łacińskiej wzmaga się nienawiść do imperialistów i rosną sympatie i miłość do Związku Radzieckiego i innych krajów obozu pokoju. Z dniem każdym stają się coraz bardziej płonne próby agentów imperializmu USA, którzy chcą wmówić naszym narodom, że Ameryka Łacińska dla „względów geograficznych" musi tkwić w orbicie tego imperializmu i służyć jego polityce. Doszło do tego, że w Argentynie, tym śpichrzu świata, obecnie brak pszenicy. Ale narody nasze walczą o chleb, wolność, niezawisłość narodową i pokój, i zadając tym ciosy imperializmowi Stanów Zjedn. przekonywają się, że jest to kolos na glinianych nogach".

F. Bolanos — Wenezuela: „Ani kropli wenezuelskiej nafty dla agresywnej wojny imperialistycznej! — oto hasło naszego ruchu demokratycznego".

E. Roca — Kuba: „Nauka Lenina — Stalina i doświadczenie partii bolszewickiej nauczą nas lepiej kierować walką klasy robotniczej, chłopstwa i całego ludu pracującego, walką całego narodu Kuby o zadośćuczynienie jego żądaniom, o zachowanie pokoju, o pełną niezawisłość narodową, rozkwit i postęp naszego kraju".

Larbi Buchali — Alger: „Naród Algieru coraz lepiej rozumie, że Wielka Rewolucja Październikowa nie tylko zlikwidowała wyzysk człowieka przez człowieka, ale i ucisk narodu przez naród. Przykład Turkmenii i użyźniania pustyń jest dla nas szczególnie wymowny. Imperialiści chcą przeciąć nasz kontakt z braćmi radzieckimi. Ale doświadczenie historii wskazuje, że nie można powstrzymać szerzenia się prawdy".

Lavrence Sharkey — Australia: „Wobec osiągnięć rolnictwa radzieckiego ostry kontrast stanowi gospodarka Australii. Rabunkowa eksploatacja ziemi, powodzie i susze, z którymi się nie walczy, powodują ruinę farmerów i dziś ludność naszego kontynentu nie ma zapewnionej dostatecznej ilości żywności, panuje chaos powszechny i bezrobocie. Taka jest treść kapitalizmu. Szczęśliwi jesteście mając stalinowski plan przeobrażenia przyrody. Plan ten wskazuje nam jak w przyszłości przeobrazić kontynent Australii".

Leslie Morris — Kanada: „Uczynimy wszystko, aby przybliżyć nadejście dnia, kiedy ludzie pracy, mężczyźni i kobiety, farmerzy i inteligenci Kanady, zbiorą się na zjeździe takim jak wasz po to, aby przekształcić nasz piękny i bogaty kraj w wolny i szczęśliwy kraj spokojnej pracy i bezklasowego społeczeństwa, kraj obfitości dla każdego — mężczyzny, kobiety i dziecka".

William Foster — Stany Zjednoczone: „Za mężną walkę o pokój 80 przywódców naszej partii przebywa w więzieniach. Ale szerokie masy narodu amerykańskiego pragną pokoju. I wiemy, że narody świata mogą zapobiec przygotowanej przez imperialistów USA nowej wojnie światowej i uczynią wszystko dla tego wielkiego celu".

Harry Pollitt — W. Brytania: „W naszym kraju rządzi najstarsza, najbardziej doświadczona i najbardziej przebiegła klasa panująca w świecie, nasz kraj ma najbardziej doświadczonych i cynicznych prawicowych przywódców socjal-demokratycznych. Tuż po II wojnie światowej W. Brytania została sprzedana Ameryce. Naród, który szczycił się niegdyś tym, iż rządzi światem, dziś nie może bez zgody amerykańskich dyktatorów powziąć żadnej samodzielnej decyzji. Jednakże kontrast między pogłębiającym się kryzysem gospodarczym i pogarszającymi się stale warunkami bytu angielskich mas pracujących, a tryumfalnym marszem narodu radzieckiego do komunizmu, staje się z dniem każdym bardziej rażący. Następują głębokie zmiany w poglądach i postępowaniu ludzi pracy, następuje ich przebudzenie".

Maurice Thorez — Francja: „Związek Radziecki jest wspaniałym wzorem dla francuskiej klasy robotniczej, która dąży do pełnego wyzwolenia, do obalenia wyzysku człowieka przez człowieka, do socjalizmu".

Wilhelm Pieck — NRD: „Niemcy pragną pokojowego życia w swojej zjednoczonej ojczyźnie i nie ma takiej siły, która mogłaby odmówić 70-milionowemu narodowi jego niewzruszonego prawa do bytu narodowego. Drogowskazem działania w naszej walce są słowa towarzysza Stalina wypowiedziane przed 3 laty, kiedy powstała Niemiecka Republika Demokratyczna: „...Zakładając podwaliny zjednoczonych, demokratycznych i miłujących pokój Niemiec dokonujecie zarazem dla całej Europy wielkiego dzieła, zapewniając jej trwały pokój".

✠

Nam, idącym do urny wyborczej towarzyszą myśli i uczucia wszystkich brygad szturmowych postępu i rozkwitu narodów, szumią na całym świecie wokół nas rozwinięte na nowo sztandary wolności, równości, braterstwa.

Taka bowiem jest wola, taki nakaz historii, którą niegdyś tworzyły jednostki i grupy wybrańców, a która dziś powołuje do zapisywania kart dziejów cały naród — świadomy swego dostojeństwa, swojej roli, swej odpowiedzialności.

Andrzej Skiba

GEORGE BIDWELL

RAZEM Z WAMI

PROSTE zestawienie paru faktów wyjaśni od razu, dlaczego z radością i dumą witam — pierwszą dla mnie jako obywatela polskiego — sposobność oddania głosu. Oddania głosu na program Frontu Narodowego.

Gdy dobiegała końca moja służba w Armii Brytyjskiej po Drugiej Wojnie Światowej, rozesłałem pozostającym pod mym dowództwem oficerom list okólny, w którym wyraziłem pogląd, że odtąd głównym obowiązkiem i odpowiedzialnością każdego z nas jest sprawa zachowania pokoju. „Narody świata — pisałem — muszą postanowić, czy dzieci ich mają być na zawsze zabezpieczone przed wciągnięciem w odmęty wojny".

Przybyłem do Polski w styczniu 1946, obejmując z ramienia Rządu Brytyjskiego posterunek dający mi, jak sądziłem podówczas, możność pracy na rzecz pokoju. Stopniowo, na przestrzeni z górą trzech lat, uświadamiałem sobie coraz bardziej, że brytyjska polityka zagraniczna służalczo podporządkowana polityce Waszyngtonu, nie jest polityką pokoju, lecz przeciwnie. Stanąłem wobec osobistego konfliktu. To, czego ode mnie wymagano, nie było pracą dla mego rodzinnego kraju, ani też dla kraju, w którym żyłem i działałem. Rozwiązałem ten konflikt w jedyny możliwy sposób — rezygnując ze stanowiska, prosząc Rząd Polski o przywilej obywatelstwa polskiego. Wyjaśniałem mym rodakom brytyjskim:

„Przekonałem się, iż Rząd Polski, popierany przez naród, pragnie pokoju, potrzebuje pokoju i walczy o pokój. Tylko w warunkach pokoju Polska może być odbudowana, rozwinąć swą kulturę, swą naukę i gospodarkę i wyrównać ogrom straszliwych zniszczeń wyrządzonych przez okupację".

Od tego czasu zwiedziłem jako pisarz wiele dzielnic Polski, widziałem naród polski i Rząd w codziennym działaniu. Rosła moja wdzięczność, że było mi danym — jak mówiłem w chwili przyznania mi obywatelstwa polskiego — „złączyć mój los z takim kierunkiem życia, takim zdecydowaniem w walce o realizację celów, takim oddaniem sprawie pokoju i tak wytężonym planowaniem rozkwitu i dobrobytu ludzi pracy, jakie znalazłem w odrodzonej Polsce".

Program Wyborczy Frontu Narodowego wytknął w sposób dla mnie oczywisty właściwą drogę wiodącą do celów, o których myślałem. Urzeczywistnienie Planu Sześcioletniego i wspaniała perspektywa następnego Planu Pięciu Lat — to kroki milowe w dążeniu do zapewnienia wysokiego poziomu życia narodu oraz do utrwalenia pokoju. Pokoju dla ziemi, gdzie się urodziłem, pokoju dla mej przybranej ojczyzny, pokoju dla całego świata. Głosowanie na rzecz Frontu Narodowego jest dla mnie zaszczytnym obowiązkiem człowieka, który pragnie przyczynić się do tych osiągnięć...

George Bidwell

KAZIMIERZ BRANDYS

DLACZEGO?

DLACZEGO głosuję na kandydatów Frontu Narodowego? Równie dobrze mógłbym sobie zadać pytanie: dlaczego jestem patriotą? dlaczego kocham swoją ojczyznę? dlaczego popieram odbudowę Warszawy?

Odpowiedzi na te pytanie i na wiele innych, równie ważnych, są zarazem i proste, i trudne do wyrażenia, a przede wszystkim — głęboko spoczywają w każdym ludzkim sercu. Program Frontu Narodowego skupia je wszystkie ze sobą, wiąże je mocno we wspólną, jasną odpowiedź: dobro narodu jest dobrem każdego obywatela, jest pełną mobilizacją wszystkich dla wszystkich.

Front Narodowy nie powstał dla sprawy wyborów. Istniał już długo przedtem i od dawna nie tylko wyrażał, ale i spełniał swój program. Najofiarniejsze wysiłki naszych ludzi — to Front Narodowy. Mirów, Muranów i Młynów, i Marienstat, i MDM — to Front Narodowy. Najlepsze książki, poezje, powieści i dramaty, najlepsze rzeźby i obrazy, najwspanialsze projekty architektoniczne, odkrycia naukowe, nowowynalezione lekarstwa i udoskonalenia techniczne — to dzieła i wysiłki ludzi Frontu Narodowego.

Wyjdź na ulicę warszawską, rozejrzyj się po kilku krokach — a zobaczysz program Frontu Narodowego. Setki świateł w oknach nowych bloków, tysiące metrów sukna na wystawach, dzieci wracające ze szkoły, dzieła klasyków drukowane w setkach tysięcy egzemplarzy — wszystko czeka na Twoją odpowiedź: jesteś za tym, czy jesteś temu przeciwny? chcesz rozwoju polskiego przemysłu i polskiej kultury, czy nie zależy ci na tym? chcesz korzystać ze wspólnych osiągnięć, czy też Twój los i przyszłość Twoich dzieci są Ci obojętne? Jednym słowem: Obywatelu Polski Ludowej, czy dajesz swój głos sprawie Frontu Narodowego — sprawie Ojczyzny?

Jako Polak, mieszkaniec Stolicy, która z dnia na dzień pięknieje w moich oczach, jako pisarz Polski Ludowej i jej prosty obywatel, odpowiadam dziś bez wahań i z najgłębszym przekonaniem: TAK.

Kazimierz Brandys

JÓZEF POGAN

JAK TO BYŁO...

JUŻ po raz trzeci idę w swoim życiu do urny wyborczej, chociaż według lat winienem głosować już po raz szósty, i to cztery razy w Polsce sanacyjnej i drugi raz w Polsce Ludowej. Lecz przed wojną głosowałem tylko jeden raz w r. 1928 na socjalistyczną dwójkę. Już wtedy interesowałem się co nieco polityką, prowadząc w swojej wsi przedwyborczą propagandę. Było nas wówczas czterech miejscowych agitatorów: Lorenc i Kowalik, zwolennicy Stapińskiego, oraz murarz Kubera i ja (najmłodszy z tej czwórki) zwolennicy socjalistów. I aż dziw bierze mnie dzisiaj, ileśmy to wtedy prowadzili między sobą niepotrzebnych utarczek. W każdy dzień wieczorami, a w niedzielę po całych dniach agitowaliśmy co sił. Ja z Kuberą na dwójkę, Lorenc z Kowalikiem na czternastkę. Wynik naszej pracy był taki, żeśmy się tylko narazili na bezustanne drwiny i prześmieszki ze strony niektórych chłopów. Bo gdy Kuberę wyrzucili z pracy, a mnie i Kowalikowi sekwestratorzy zabierali ostatnią kozę za podatki — sąsiedzi wtedy z gębami na nas: — „Miało wam być dobrze, boście na dwójkę i na czternastkę głosowali... Każ macie tę dobroć, he?!" Jeden tylko Lorenc wyszedł z tej akcji zwycięsko, a to dlatego, że miał 14 morgów ziemi i w dodatku warsztat szewski, więc ja z Kowalikiem odrabialiśmy mu kontrybucję za przegrane wybory. Jemu „klapła" czternastka, ale nie nam. Od tego czasu wyrzekłem się głosowania, tak, że nawet w ostatnich przed wojną wyborach na Centrolew nie głosowałem.

Tak samo sparzył się mój ojciec na głosowaniu w r. 1919. Wtedy to proboszcz Boratyński Zygmunt przy pomocy 140 morgowego kułaka Żurowskiego z Łaz prowadził zacięty bój wyborczy z nauczycielem Ochwalskim Feliksem. Ksiądz agitował na endecką ósemkę, nauczyciel na socjalistyczną dwójkę. Organista Jankowski (który jeszcze dziś walczy z postępowymi działaczami) dom w dom roznosił „zbawienne" ósemki i nakazywał wrzucać je do urny. Kontrolą nad „uczciwym" głosowaniem była spowiedź, a karą — bezwarunkowe odmówienie rozgrzeszenia. W ten to sposób endecka ósemka wzięła górę nad socjalistyczną dwójką. Do sejmu został wybrany wnuk księdza Jagodzkiego, bogaty chłop z Sułoszowej, Józef Ostachowski. Ożenił się zaraz u kułaka-młynarza Brandysa i „stał się wielkim panem". Wyborcy byli dlań pospólstwem, najpodlejszym chamstwem. Również rodzina Brandysa i dwoje innych dzieci księdza Jagodzkiego urośli jeszcze wyżej. Ludność okolicznych wsi aż pluła na to, każdy bowiem wiedział, jakiego to majątku dorobił się na parafianach ksiądz Jagodzki (140 morgów wraz z zabudowaniami dla syna Półtoraka Leona i tyleż w gotówce dla dwu córek) a teraz taka pogarda potomstwa za dawną krzywdę chłopów i za obecny mandat poselski.

Wspominam o tych sprawach, bo nie można o nich w przedwyborczym okresie zapomnieć... cisną się na myśl jak przeżyte koszmarne sny... Potomek księdza, endek Ostachowski, sprzedajny Stapiński, Rączkowski i inni, a przeciw nim obecni kandydaci do Sejmu — to dwa przeciwstawne sobie obozy ludzi. Przeglądam obecną listę kandydatów i serce bije mi radością. Widzę nazwiska dziesiątek osobiście dobrze znanych mi ludzi. Widzę przeszło stu rdzennych uspołecznionych chłopów ze wsi i tyluż rdzennych robotników. A i tacy jak Gustaw Morcinek, gen. Aleksander Zawadzki, Władysław Kowalski, Stanisław Janusz i wielu, wielu innych — to moi współtowarzysze czarnej, chłopsko-robotniczej doli.

Józef Pogan

TEG ALLAH (Indie) Spolszczyła: **IRENA TUWIM**

PODPALACZOM ŚWIATA

Pod nogami chwiała się ziemia,
Z orbit zeszły gwiazdy i planety,
Były czasy, gdy świat w bólu oniemiał,
Gdy mu serce cięły bagnety.

Wtedy naród indyjski zrozumiał,
Że o pokój walczyć mu trzeba.
Czy słyszycie?
Głodujących tłumów
Gniew uderza do samego nieba.

My żądamy — a nie prosimy,
By w Korei skończyć rzeź nareszcie.
Nie błagalnie, ale groźnie wznosimy
Ręce nasze zaciśnięte w pięście.

Nie prosimy o pokój: żądamy!
Nie jesteśmy dziś tłumem nędzarzy.
Naszych pól, naszych siół nie damy,
By się stały spopielałym cmentarzem.

I nie damy dzieciom ginąć z głodu —
Chytrej sforze zamorskich sług
Otumaniać opowieścią narodu
O „niesprzeciwianiu się złu".

Za ochłapy nie będziemy dostarczać
...Armatniego mięsa możnym panom.
Na Ameryki rynkach frymarczą
Wolnością Pakistanu.

Nie spopieli świata wojny pożar.
Inny widzi świat naród indyjski,
Gdy mu świeci promienista zorza
Związku Rad i Republiki Chińskiej.

Nam przyświeca ludzkiej wiedzy słońce,
Sztuki, nauk, każdej myśli nowej:
Nie ma życia w gazach trujących,
Nie ma kwiatów w bombie atomowej...

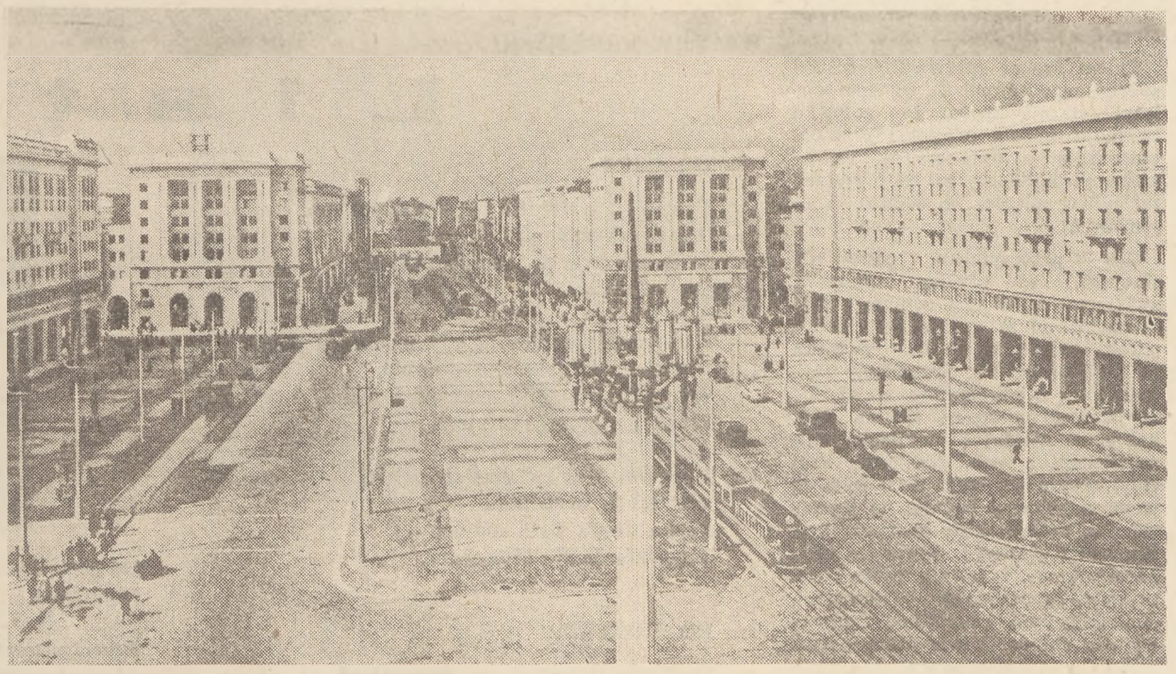

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

PIEŚŃ PRZEDWYBORCZA

I.

Przeciwstawimy świat pożarowi
My — Polski i ludów nadzieja —
Nasze wybory to — ludzie nowi:
Włókniarz, inżynier, kolejarz!

Którzyśmy znali ciemność samotną,
Idziemy, z nami — oświata;
Nasze wybory — walka z ciemnotą,
Jedność człowieka i światła!

Był dom samotny — nie mój i nie wasz
I pieśń samotna jak chmura...
Pieśń, nie samotną, poeta śpiewa,
Dla ludzi buduje murarz!

II.

Gdy budził się polny dzwonek
I ze snu wstawały drzewa,
W tej wiosce tylko skowronek
Wesołe pieśni śpiewał.

Ptaku świtu i rosy,
Ptaku trawy i tęczy!
Niech chłopski śpiew radosny
Przy twoim śpiewie dźwięczy!

Dola była jak kamień
Rzucony w głuchą wodę,
Dola będzie jak promień
W pogodę!

III.

Młoda włókniarka otwiera okno:
Pod deszczem dymy fabryczne mokną,
Lecz żłobek z dzieckiem jest blisko.

Nasze wybory — pokój tym dymom,
Które nad Łodzią wiją się, płyną,
Pokój kołyskom!

Oto Mickiewicz, jak z emigracji
Wraca z bibliotek do ludzi pracy,
Na księgach położył rękę.

Nasze wybory — pokój tym księgom,
Co tak głęboko pod strzechy sięgną,
Ze będzie piękniej!

Front Narodowy to młot i pióro,
To cyrkiel z pieśnią czystą i górną,
To — kochać, tworzyć i myśleć.

To — zabarwione murarskim świtem
Nowe, warszawskie domy, odbite
W prastarej Wiśle.

PIOTR DONIEC

Działo się to w Racławicach

HISTORIA, którą chcę opowiedzieć, historia wielkiego oszustwa, a mojej strasznej krzywdy i walki, znana jest w całej *racławickiej gminie*. Opowiadałem ją setki razy i każde najmniejsze zdarzenie tak wryło się w mojej pamięci, że choćby mnie w nocy zbudzić, słowo za słowem po kolei powtórzę. I choć za każdym razem serce się kraje na wspomnienie tej męki i lamentów mych, 9-ciorga dzieci, dzisiaj postanowiłem jeszcze raz opisać ją szczegółowo. Chcę, aby w tej wielkiej chwili, gdy wybieramy do Sejmu Polskiego *naszych*, chłopskich i robotniczych przedstawicieli, dotarła ona do każdego zakątka kraju — młodym na świadectwo, a starym na przypomnienie, w jakiej okrutnej poniewierce trzymano dawniej chłopa i jakich to miał miłościwych obrońców w rządzie sanacyjnym i tych posłach, co ich niby wybierał na swoich rzeczników.

Otóż i moja historia:

✣

Zaczęła się ona w roku 1926. Byłem wówczas dorobijaszem, urodzonym na gospodarstwie siedmiomorgowym, a ziemię tę szczerze miłuję i zrośnięty z nią jestem aż do grobu. Żal było dzielić te parę morgów jeszcze na mniejsze działeczki, postanowiłem więc w owym roku braci pospłacać i pożyczyłem 2.000 zł od spekulantów miejscowych. Zażądali procentu miesięcznie 7 od stu, a wynosiło to 280 zł na miesiąc i ani grosza opuścić nie chcieli. Co było robić, pożyczkę przyjąłem, a że ceny zboża były jeszcze dość znośne, więc zacisnąwszy pasa, pakowałem co miesiąc te bajońskie sumy do żarłocznych kieszeni. Ale i to miało swoje granice, bo zaczynały już kartele swą podłą robotę i ceny produktów rolnych poczęły spadać na zbity łeb. Pszenica spadła wtedy od razu z 50 zł na 25 Myślę, jeszcze 3—4 miesiące i nie wytrzymam — trzeba było szukać jakiegoś wyjścia.

Od mojej wsi z górą 8 kilometrów, w miasteczku Działoszyce, znajdował się bank udziałowy, dyrektorem był w nim niejaki Młynarski. Do niego to udałem się, by pomógł w mojej niedoli. Dyrektor użalił się nad moim losem i zaproponował pożyczkę z banku — 2.000 zł na 3 proc. rocznie. Obliczyłem, że rocznej różnicy procentów będzie ok. 1.620 zł. Więc wyobraźcie sobie, jakżem się wtedy ucieszył i pomyślałem, że Bóg jednak jest sprawiedliwy, a drugi po Bogu dyrektor Młynarski, którego dobry rząd polski postawił na stanowisku, by bronił chłopa małorolnego.

Ale gdym się już zbierał do wyjścia, wyrosła już pierwsza trudność. Okazało się, że nie jestem członkiem banku i muszę wpierw wpłacić 200 zł udziału. Pociemniało mi w oczach, bo to znaczyło dla mnie sprzedać ostatnią krowę, a dzieci małych miałem wtedy 6-ro. Trudno, zdecydowałem się jeszcze i na to, byleby w jakiś sposób pożyczyć te 2000 na 3 proc. rocznie.

Podziękowałem więc pięknie dyrektorowi, a następnego dnia rano, gdy żona wydoiła po raz ostatni krowę - żywicielkę, wyprowadziłem wśród płaczu dzieci z zagrody, sprzedałem handlarzowi i z pieniędzmi pędem lecę do banku. Aż tutaj nowa trudność — trzeba złożyć weksle, podpisane przez 2-ch żyrantów zamożnych obywateli. Jakby mnie kto obuchem trzasnął przez głowę: Skąd ja biedak znajdę poręczycieli bogatych chłopów, kto poręczy za takiego jak ja, który nie ma nic prócz 7 morgów i 6-ga dzieci? Błagam więc dyrektora, aby mi pomógł — a że spirytus lubił i widział u mnie 100 zł pozostałe po krowie — obiecał wynaleźć dwóch miejscowych żyrantów.

Przepiliśmy więc w czwórkę — dyrektor, 2-ch poręczycieli i ja — moje ostatnie 100 zł, żyranci podpisali, dyrektor weksle pobrał i wydał w zamian malutką karteczkę z terminem płatności za 7 dni, ja zaś pijaniusieńki powlokłem się z powrotem do domu.

Te 7 dni, które dzieliły mnie od pobrania pieniędzy, widziały mi się całym rokiem. Nie mogłem doczekać tej błogiej chwili, która zakończyć miała mą mękę. Pobiegłem do banku już o dzień wcześniej, aby tylko nie spóźnić. Przespałem pod szopą we wiórach, a noc wtedy, pamiętam, była już dosyć mroźna. Rano wczas wstałem zmarznięty cały we wiórach, wyczekuję przepisanej godziny. Wreszcie o godz. 9-tej przybył dyrektor, dobrze wyspany, w szerokim płaszczu amerykańskim, ręce jego białe ze złotym pierścieniem na palcu. Zasiadł w fotelu i przez 15 minut do nikogo się słowem nie odezwał — a ja przed nim stoję z moją karteczką w ręku. Nareszcie pyta, co mnie do niego przyniosło, prędko zapomniał, jak przepiliśmy te moje 100 złotych. Przypomniałem mu, że dzisiaj miałem zgłosić się po pożyczkę. Prawda — mówi — wyleciało mi z głowy, ale wasze weksle jeszcze leżą w Warszawie, w banku centralnym, trzeba czekać cierpliwie aż przyjdzie gotówka.

Czekałem tak cierpliwie miesiąc, później drugi miesiąc i trzeci — aż zacząłem coraz częściej przychodzić do banku i coraz niecierpliwiej dopominać się o należną pożyczkę.

Dyrektor wtedy wziął się na taki sposób:

Któregoś dnia przetrzymał mnie do późnego wieczora, a kiedy wypuścił bocznymi drzwiami, opadły mnie zaraz spuszczone z łańcucha 4 wilczury.

Postanowiłem dzień w dzień, pogoda czy słota, wędrować do Działoszyc 8 km i wołać na cały głos do dyrektorskich okien: oddaj, złodzieju, weksle, albo pieniądze. Drugiego dnia dyrektor zadzwonił do policji żem wariat. Zabrali mnie na posterunek a rano postawili przed komendantem. Był to syn miejscowego kułaka. Ów komendant wytłumaczył mi dokumentnie — leżał przed nim nabity pistolet — że takim postępowaniem nie doprowadzę do niczego.

Na drugi dzień znów poszedłem pod okno i krzyczę: oddaj złodziejuju pieniądze! I byłbym tak przychodził codziennie, nocując od czasu do czasu w komisariacie, gdyby nie pewien szczęśliwy, wydawało

się wtedy, przypadek. Bo oto, gdym już miał cisnąć w okna kamieniem, wychylił się zamiast dyrektora jakiś obcy i woła mnie do biura. Był to pewnie jaki zwierzchnik dyrektora — wysłuchał uważnie całej mojej historii, poczem zalecił wystawić mi pokwitowanie za weksle, z numerem książki, pieczątką i podpisem dyrektora. Gdym to otrzymał do ręki, nie posiadałem się z uradowania i tak po 4 miesiącach walki odeszłem z kwitkiem — choć bez pożyczki, lecz z wielką ulgą na sercu, że mnie przecież za weksle nikt ścigać nie będzie.

Upłynęło od tego czasu 9 lat. Ciężkie to były lata, lata kryzysu, męki i głodowania, i coraz częstszych odwiedzin komornika i sekwestratora. Ale opisywać ich tutaj nie będę, zwyczajne to były wtedy dzieje biednej rodziny chłopskiej. O historii z Młynarskim zdążyłem zapomnieć, dowiedziałem się zresztą, że bank ogłosił upadłość i został zlikwidowany. Aż w roku 1935, jak grom z jasnego nieba, spada na mnie wezwanie do sądu — o zapłacenie 2.000 zł. + zaległe odsetki. Zachodziłem w głowę, co to być może, dopiero przypomniały mi się weksle, które pobrał ode mnie Młynarski. Odszukałem więc pokwitowanie i śmiało kroczę na rozprawę sądową do Miechowa. Kiedy sędzia wywołał moje nazwisko, wyjąłem moje pokwitowanie, z pieczątką banku i podpisem dyrektora. Czytał chyba z 15 minut, wreszcie kazał wstać i mówi: Prawda, żeście gotówki nie brali, ale prawo jest takie, że zapłacić musicie, a dopiero potem szukać odszkodowania od członków upadłego banku. I wydał wyrok, aby natychmiast wypłacić — jeden tysiąc posiadaczom z Pińczowa, drugi — posiadaczom z Działoszyc, dawnym urzędnikom owego nieżyjącego banku.

Postanowiłem walczyć do upadłego. Ale jak walczyć? Myślę sobie, napiszę do samego sejmu.

Jak pomyślałem, tak też i uczyniłem. Wystosowałem wpierw zażalenie prosto do premiera Sławoj-Składkowskiego. Opisałem wszystko dokładnie, prosząc o szybką odpowiedź, bo już mnie komornik znowu siedział na karku. Za 2 tygodnie odpowiedź z kancelarii osobistej premiera: piszą, że skarga moja została przychylnie przyjęta przez pana premiera, z którego polecenia przyjedzie do mnie główny rewident z banku rolnego w Warszawie. Rzeczywiście, po upływie miesiąca przybył wysłannik premiera ze swoim kolegą z Krakowa, sprawę moją badali 2 dni, kazali sprzedać 3 morgi ziemi i dług zapłacić, wsiedli w samochód i odjechali. Taką dano mi pomoc z polecenia łaskawego rządu sanacyjnego, tak się zaopiekował pokrzywdzonym chłopem pan premier Składkowski!

Układałem to zażalenie przez 4 wieczory, a zebrało się tego kilkanaście wielkich arkuszy papieru. Nie tylko o nadużyciach dyrektora Młynarskiego i mej osobistej krzywdzie, ale o całym naszym życiu chłopskim, przytaczając fakty i cyfry. Piszę więc, że chłopi powoli zamierają z nędzy. Nadmieniam, że zapałkę kroi się na dwie części, a tytoń machorkowy kupuje się w czterech wspólników. Nadmieniam że wieś świeci w kagankach, bo nie ma pieniędzy na naftę. Nadmieniam, że od zewnątrz bieli się stodoły i płoty przydrożne, a od wewnątrz wszy ludzi zjadają, gdyż brak grosza na mydło. Piszę, że pocośmy wybierali do sejmu, jeśli ci wybrańcy nie zainteresują się naszym losem. Piszę dalej, że ci wybrańcy posłowie może nie wiedzą, jakich u chłopów dokonuje się egzekucji, więc niech się dowiedzą, że dopiero co poborca podatkowy wyrzucił z poduszki moje 2-miesięczne dziecko, i to nie za podatek a za swoje koszta egzekucyjne. Niech się dowiedzą, że bywają częste wypadki, gdy rolnik nie posiada nic więcej prócz kosy, a i o nią dochodzą komornik i sekwestrator, który ma większe prawo ją zabrać. A na koniec zapraszam: niechaj do mnie przyjedzie pan poseł lub jaki wysoki urzędnik z Warszawy, niechaj przez 2 miesiące jada to samo co ja, w to się ubiera co ja i razem ze mną się wysypia — i jeśli przetrwa te 2 miesiące, całe gospodarkę bez niejakiego prawowania oddaję za darmo.

Kiedy to wszystko opisałem, dałem pod dyskusję na zebraniu Stronnictwa Ludowego, a że wszystkich to dotyczyło, postanowili własnoręcznie podpisać. Podpisało mi 1500 chłopów małorolnych i średniorolnych, — samych podpisów dołączyłem 5 arkuszy papieru — poczem uchwalili złożyć składkę i jechać z tą petycją do samej Warszawy, aby osobiście doręczyć do Sejmu. Ja jednak obstawałem przy tym, że lepiej posłać po prostu listem, i wysłanników chłopów pewnie tam nie dopuszczą, albo jeszcze osadzą w Berezie Kartuskiej. Zrozumieli i przyznali mi słuszność.

Czekałem na odpowiedź blisko 2 miesiące, a tymczasem komornik zabierał mi po kolei wszystkie rzeczy z chałupy. Wreszcie odpowiedź nadeszła — tej treści, że niepotrzebnie to wszystko piszę, bo sytuacja się nie da poprawić. A co do mej osobistej krzywdy, jaką wyrządził mi dyrektor Młynarski, to Sejm nie może w te sprawy wnikać — od tego Rząd ma prokuratorów. W załączeniu plik ustaw o sądach rozjemczych.

Tylem zyskał sprawiedliwości od sanacyjnego sejmu. Za to, żem dołożył ostatnią krowę, że gotówkę za moje weksle przepił i przespał biurokrata — dyrektor w zagranicznych hotelach, za to przysłano mi plik papierów o sądach rozjemczych!

Gdy przeczytałem odpowiedź chłopom, w okolicy zawrzało, zwłaszcza, że w tym samym czasie obszarnikowi w gromadzie Manowiczki umorzono 5000 zł podatku na budowę pałacu. Zaczęliśmy szykować się poważnie do walki. Urządziliśmy w naszej gminie kilkakrotnie strajki i manifestacje, a największa z nich, głośna na kraj cały, odbyła się w r. 1937. Było to wczesną wiosną, bodajże w kwietniu. Na racławickich błoniach, pod Kopcem Kościuszki, zebrał się tłum parotysięczny i jawnie protestował przeciw sanacyjnym bezprawiom, domagając się radykalnej poprawy dla chłopa. Kiedy tłum począł wołać: precz z rządami obszarników i kapitalistów, pojawił się na błoniu oddział policji, chyba ze 200 osób i ruszył do szarży w naszym kierunku. Posypały się wtedy kamienie, cegły, błoto, rwano koły z przydrożnych płotów i dalej we łby policjantów.

Policjanci użyli ostrych nabojów, 3 chłopów zabito, kilku zostało rannych, ale myśmy pod ogniem dalej napierali z kamieniami. Ja sam z pociskami kamiennymi podchodziłem z boku, starając się ubić głównego dowódcę szwadronu. Nie wiem, czy dostał moim pociskiem, czy innym, ale wiem tyle, że widziałem go po zajściach ze łbem obandażowanym. Nawet moi dwaj mali chłopcy targali kamienie i rzucali na policjantów wołając: macie złodzieje za naszą ostatnią krowę.

Te wypadki będę pamiętał do końca życia. Jestem już starym chłopem, mam 58 lat i niewiele mi życia pozostało — ale nigdy nie spocznę w walce o sprawiedliwość i prawdę. Dlatego zostałem korespondentem, — aby bić i piętnować przeróżnych biurokratów i oszukańców, niedobitków dyrektorów Młynarskich. Bo dziś rząd nasz ludowy staje w obronie ludzi pracy i dlatego też z tak wielką i głęboką radością staję dziś do wyborów, bo widzę na naszych listach wyborczych ludzi spośród nas samych, którzy oszustom i wyzyskiwaczom nie będą folgować, a staną twardo w naszym interesie ludowym.

Piotr Doniec

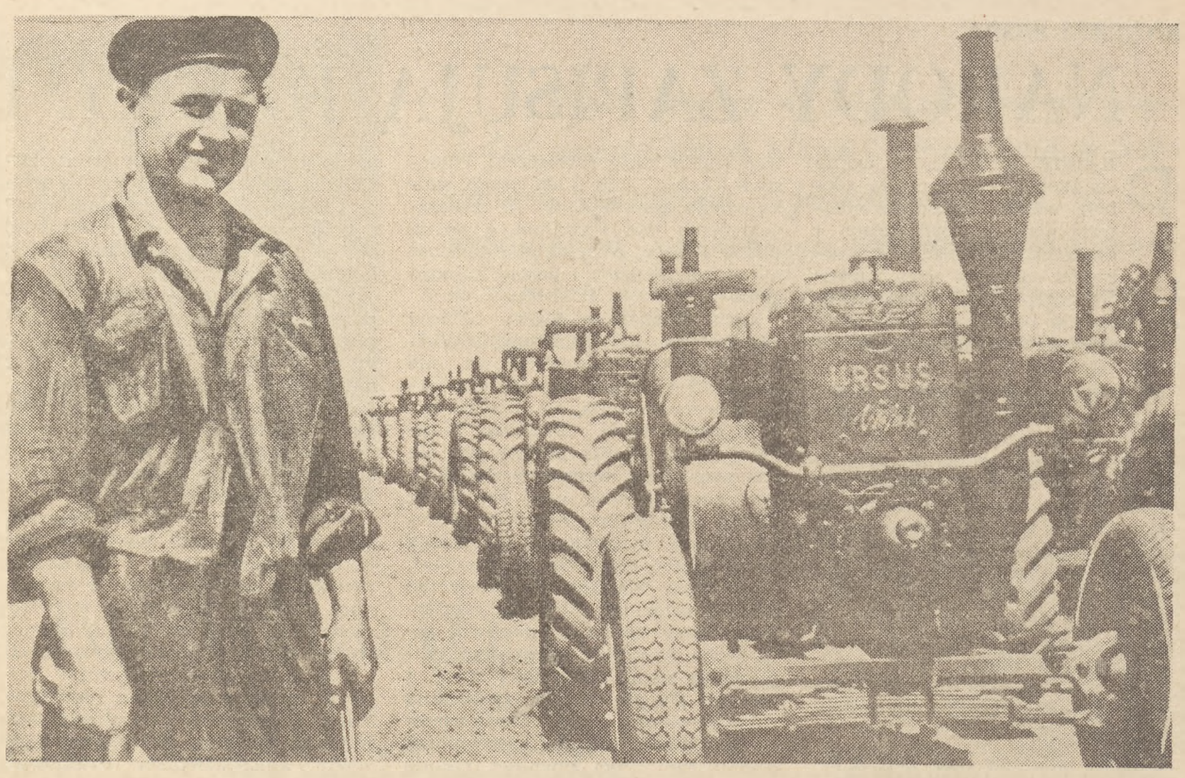

TADEUSZ GICGIER

Do młodych wyborców

Widzę zapadłe, blade twarze
kazetempowskich bojowników —
oczy się w nich jak głownie żarzą
na zakonspirowanym strychu.
Jutro ich tajniak już wyśledzi
i sanacyjny zamknie loch —
lecz dzisiaj jeszcze się rozejdzie
ulotka — nabój — proch!

Widzę obdarte, nędzne dzieci
w zaułku, na skraju chodnika,
gdzie słońce przez chwil parę świeci,
a potem na dzień cały znika.

Nie było dla nich miejsca w szkole,
(fakt ten by zmienił gruby trzos)
podzielą pewnie sióstr swych dolę
i braci starszych los.

O, druhu mój z fabrycznej sali,
co pracy pełne masz dziś ręce, —
kolego z wykładowej auli,
który jak światło — czerpiesz wiedzę,
o, młodzi moi towarzysze
od krosien, kielni, pługów, piór —
to dla was wiersz ten właśnie piszę
idących dziś do urn.

JAN KOPROWSKI

Do osiemnastoletniego

Kolego, dzisiaj osiemnastoletni,
wiem, czemu w sercu twym radośnie.
Twój Pierwszy głos ten dzień uświetni,
Polska piękniejsza nam wyrośnie.
Ja, gdym był kiedyś w twoich latach,
nie miałem jednej chwili jasnej.
Snuło się życie gorzkim pasmem,
w sercu nienawiść rosła do świata.

Dzisiaj stajemy obaj przed urną,
by razem złożyć nasze głosy.
Już żaden z nas nie będzie bosy,
w przyszłość, mój chłopcze, idziemy górną.

WACŁAW MROZOWSKI

Listy

DO OJCA:

Pamiętaj, z siwych włosów obłokiem
Ojcze, jak młodość daleki,
że radość bije do jasnych okien
jak fale rzeki.

I wspomnij w chwili, gdy w drżące palce
weźmiesz swą kartkę dumnie,
wszystkie Chopina mazurki i walce,
które na pamięć umiesz.

I pomyśl, ileś lat musiał czekać
z nadzieją ogrodnika
i jaka droga była daleka
i syn nie Janko Muzykant.

DO SIOSTRY:

O młodości naszej nie wspominaj
co jak rzeka mulista i kręta,
każdy dzień jednako się zaczynał,
z jakimś lękiem i trwogą — pamiętasz?

A dziś, gdybym Cię o to zapytał,
gdy Cię rano płacz dziecka budzi, —
— każdy dzień jak kwiat wiśni rozkwita,

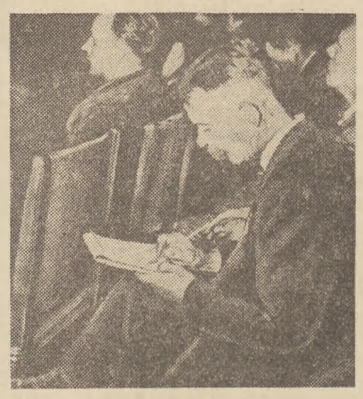

żeś szczęśliwa jak każdy z ludzi —
odpowiesz.

Przeciw tamtym dniom podnieś rękę,
dniom kwitnącym — dziedzica i księcia —
za swą radość dziś, rzuć głos jak podziękę
i za uśmiech i płacz niemowlęcia.

Pełna wzruszenia, weźmiesz w ręce
wyborczą kartkę
i rzucisz, jak się rzuca serce
przed dobrą matką.

Płynie Łyna od Olsztyna

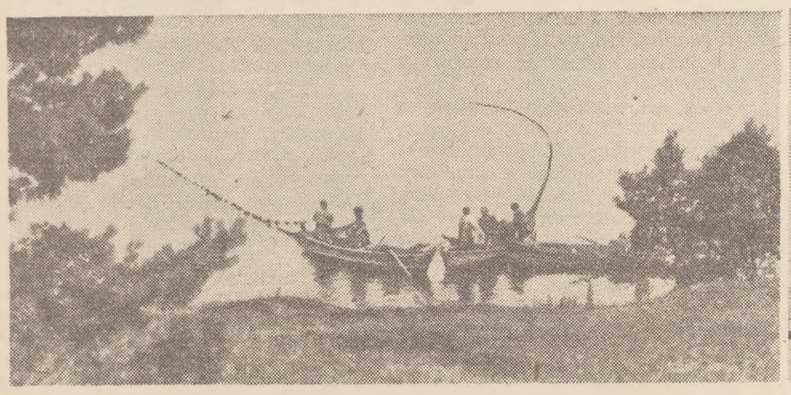

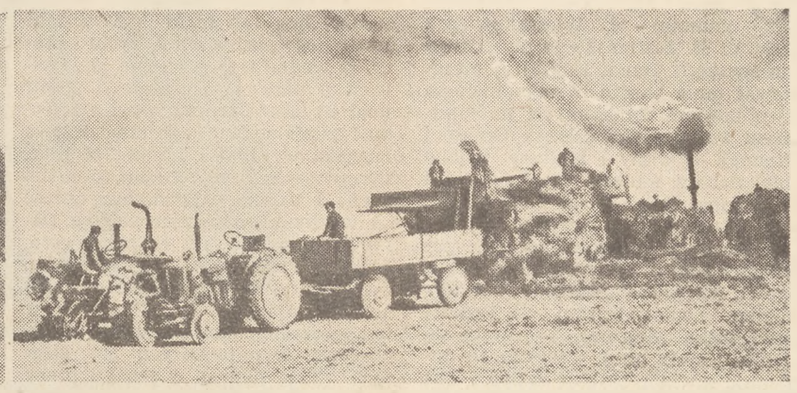

WINCENTY DZIURBA

Przełomowy rok

TEN rok śmiało można nazwać przełomowym dla naszej gromady Galiny (pow. Górowo-Ił, woj. Olsztyn). Przede wszystkim dlatego, że już dokładnie zdajemy sobie sprawę z naszych osiągnięć i niedomagań. Myślicie może, że to taka prosta sprawa? Otóż wcale — nie! Zjechaliśmy na Iławszczyznę z różnych stron. Co chałupa to inna dzielnica Polski centralnej albo zabużanie. I co gospodarstwo — to inna technika uprawy roli, inna wiedza rolnicza, inne doświadczenia produkcyjne.

Pamiętam, że jeszcze 2 lata temu w żaden sposób nie mogliśmy ustalić wyraźnego planu gospodarczego dla gromady. Rzeszowiacy obstawali głównie za owcami, wilniacy za lnem i żytem, a ci ze środka kraju nic — tylko siedzieliby i siali koniecznie wszystkiego po trochu. Ludzie rozumieli wprawdzie, że u nas udadzą się buraki i rzepak, zachwycali się nawet możliwościami rozwinięcia hodowli, ale stare nawyki — nie wiem jak tam u innych — ale z chłopów tak łatwo nie wychodzą. Dość, że przez ładnych kilka lat gospodarzyliśmy trochę każdy sobie i zupełnie po staremu.

Przełom zaczął się właściwie bardzo wcześnie, bo już w 1947 roku, ale wcale na to początkowo nie wyglądał. Po prostu część gospodarzy przerzuciła się na hodowlę mlecznych, a nawet mięsnych krów. Dostawiali mleko do naszej mleczarni, sprzedawali do rzeźni żywiec i wysunęli się z czasem na czoło gromady. Oni to zabrali się do racjonalnej uprawy łąk, których nam tu nie brak, a z kolei ruszyli na rośliny oleiste i przemysłowe. I — trzeba to powiedzieć — że reszta dopiero w zeszłym roku poderwała się do hodowli, buraków, ziemniaków przemysłowych, rzepaku i lnu. Ale też i tegoroczne wyniki przeszły nasze oczekiwania.

Pozwólcie, że się trochę pochwalę. W naszej gromadzie mieszka 20 gospodarzy, samych średniaków, mających po 7—9 ha. Mała gromada, ale dosyć znana w okolicy. Przeprowadziliśmy żniwa w rekordowym tempie. Jest inna rzecz, że niektórzy musieli brać się do kosy, nie chcąc darmo wyczekiwać na GOM-owską żniwiarkę. Zwieźliśmy do stodół zboża piękne i czyste jak perły. Bumelantów nie było ani jednego, a nawet pojawili się przodownicy, którzy dopomogli w zbiorach spółdzielni produkcyjnej w Warszkajtach. Ludzie nasi zmienili się w ostatnich latach i nie myślą już tak: „byleśmy my pierwsi byli w Galinach", czują się odpowiedzialni za całą gminę. Z pomocą sąsiedzką sprawa u nas nie trudna, bo potrzebują jej tylko dwie wdowy. Nie daliśmy się im przepracować.

A najwięcej zadziwiły nas same zbiory. Omłoty dały przeciętnie 30—40 proc. więcej pięknego ziarna niż w roku ubiegłym. Wyszły dwa razy lepiej len i konopie. A już prawdziwe zdumienie budziły buraki, które rosną nad podziw. A przecież pamiętam, jak sąsiedzi odpowiadali agronomowi, że ziemia nie kobieta, nie namówisz, żeby rodziła, kiedy nie chce. Okazuje się, że nawozami, staranną pielęgnacją można ją nawet w naszych średniourodzajnych stronach — do większej wydajności namówić.

Wreszcie — trawa, lekceważona przez wielu — trawa, dziś można powiedzieć — fundament naszej gospodarki! Powiem krótko — zebraliśmy już w pierwszym pokosie przeciętnie 50 proc. więcej niż roku ubiegłego. Paszy starczy na tyle, że można poważnie myśleć o dalszym rozwoju hodowli krów. U nas rośnie na łąkach skoszonych — jak my to nazywamy — potraw, i on nam przysporzy jeszcze więcej siana.

Dlaczego przełom? Widzicie, powiem trochę ze wstydem, ale dopiero w okresie przedwyborczym, będzie przeszło miesiąc temu, a może i więcej — przestudiowaliśmy dokładnie zadania Planu 6-letniego w naszym województwie. Pewno, że nieraz się o tym już wcześniej mówiło, ale dopiero ostatnio przekonaliśmy się, że przestawiając naszą gospodarkę włączamy Ziemię Olsztyńską do reszty kraju. Otóż napisano w Planie, że wzrost produkcji zwierzęcej wyniesie 154 proc., z czego pogłowie bydła wzrośnie o 132 proc., trzody chlewnej o 158 proc., a owiec o 167 proc. I jakby tak dobrze policzyć nasze krowy mleczne i mięsne — na to samo wyjdzie. Co do owiec — to rzeczywiście trochę jeszcze niedomagamy. Ale wiemy, że nasze Mazury mają żywić robotników z Żerania, to znaczy, że jak wykonamy nasz rolniczy plan na Warmii to związemy tę ziemię z resztą Polski na zawsze.

Pewno, że są i niedomagania, ale można stosunkowo łatwo usunąć dużą ich część. Dokucza nam trochę biurokracja i niedostateczne zaopatrzenie GS-ów w potrzebne artykuły. Dla przykładu powiem, że jak zaczęło w połowie lata Prezydium GRN radzić z kierownictwem GOM-u nad wyszykowaniem maszyn do żniw i omłotów tak pewno do dzisiejszego dnia nie skończyli. Za dużo tego radzenia, a za mało roboty. GS-y nie miały smoły do polewania dachów, leje się trochę woda do niektórych stodół, no i ziarno może stracić na wartości. W magazynach nie było saletrzaku i azotniaku na czas. Bo po czasie, kiedyśmy pisali, to nawóz się znalazł.

Są to wszystko trudności, które można przezwyciężyć, oczyszczając nasz aparat z przypadkowych elementów, często spekulantów i wydrwigroszy, którzy przybyli tu nie wiadomo skąd, zręcznie zyskiwali sobie poparcie, a następnie brali się do pokątnego handlu społecznym dobrem. Mamy pewność, że wybory do rad terenowych, których się spodziewamy, oczyszczą szeregi kadr w GS-ach i GRN.

Gorzej jest z trudnością inną. Oto sami obserwowaliśmy, jak rzetelnie pracują robotnicy w takich PGR-ach jak Besleda, Dzikowo i Cyperki, a jednak nie dali sobie należycie rady ze żniwami. Za mało jest jeszcze ludzi. Wyczytaliśmy, że Olsztyńskie zamieszkuje już ponad 600.000 ludzi, ale drugie tyle powinno jeszcze na nasze ziemie przybyć. I ten brak, niewidoczny w naszej małej gromadzie, odczuwa wiele wsi, a zwłaszcza PGR-y.

A przecież spójrzcie tylko ku iławskim jeziorom — Płaskiemu, Rucewskiemu, Jeziorakowi, spróbujcie nocnego połowu ryb, przemierzcie wspaniałe lasy od Iławy po Zalewo, przejdźcie na wschód ku wspaniałym łąkom Karczmisk, Duby, Wielowsi i Bynowa, a przekonacie się, że skoro raz w te strony polski chłop przyszedł — na zawsze pozostanie.

Wincenty Dziurba

ALEKSANDER GRABOWSKI

Proste słowa

PRZYJMIJCIE ode mnie te proste słowa, chłopa niewprawnego w pisaniu, osiedlonego na Ziemi Olsztyńskiej.

Przybyłem tu roku pańskiego 1947 w czas dosyć jeszcze burzliwy i niepewny. Dolatywały nas plotki, że długo na Ziemiach Odzyskanych nie pobędziemy, bo oddane nam tylko czasowo. Ale takiego, co razem z żoną zniósł lata poniewierki przy jaśnie pańskim dworze — łatwo nie zastraszysz. Bez żalu opuściliśmy wieś Żabowo w powiecie płońskim, gdzie tyle przecierpieliśmy.

Nasza nowa wieś — Różana, gmina Pieniężno pow. Braniewo, była już prawie w całości zasiedlona, kiedy przybyliśmy. Wcześniej przelatywały tędy wędrowne ptaki — szabrownicy, ludzie mówiący po polsku, a przecież szarańcza, co niszczy wszystko po drodze. Dano nam domek robotniczy, człowieka, który tak jak ja, pracował u obszarnika. Okna bez szyb, dach, któremu brakowało połowy desek, rozdrapana obórka, zachwaszczony ogródek, połamany płot.

Na początku źle nam było. Nie mieliśmy gdzie trzymać krów, za domem rozciągała się szeroko moja, porosła zielskiem, wyugorowana ziemia. Wielkie morze ostu i perzu. I tak to było, że wsiałeś kwintal, a zebrałeś pół. Dzisiaj mogę się poszczycić gospodarstwem, bo jak rzucę w ziemię kwintal, to mi da dwadzieścia albo i więcej. Mam ja dziś dwanaście ha ziemi, trzy krowy, kilka świń, owiec pięć i ze sześćdziesiąt chyba sztuk drobiu.

Żona moja, to dobra i pracowita kobieta. Kiedyś, za sanacji, zrywała się co rano przed czwartą, latem czy zimą — wszystko jedno — żeby dziedzicowi krów dopilnować. A dziś, kiedy pokazuje naszym znajomym z warszawskiego gospodarstwo to aż wierzyć nie chcą, żeby mogło być tak dobrze. A tak do tego zręcznie agituje, że sprowadziło się w te strony pięć rodzin biedoty i mają się nie gorzej niż my. Jeszcze jedna rodzina ma na dniach tu zjechać.

Moje dzieci nie będą analfabetami, jak ja i moja żona. Piszę tak, bo przed wojną skończyłem zaledwie dwa oddziały, a resztę lat swoich przesłużyłem we dworze i u kułaków. Za łach, w którym bogacz nie raczył już chodzić, za nędzną miskę strawy gnój nakładałem i pasłem krowy. I dopiero kiedy nasz rząd przyszedł, dano mi możność ukończenia 7 oddziałów, chociaż dawno z dziecka wyrosłem. A i żona przeszła kurs dla analfabetów.

Jedna moja córka chodzi już do czwartej klasy, a druga do pierwszej. Co do starszej, to chciałbym, żeby dalej tak dobrze się uczyła i wyszła na nauczycielkę. Co będzie z drugą, to sam nie wiem, ale chyba na agrotechnika pójdzie, bo stale wynajduje jakąś robotę na polu. A ma ci ten spryciarz swój własny ogródek, rośnie w nim trochę żyta, trochę lnu, rzepaku, maku i jarzyn. Powiadam wam, aż się nadziwić nie mogę, jak pod matczynym okiem ciągle coś ulepsza, krzyżuje, nawozy odważa i miesza. Mam i trzecią córkę. Ta pewno wyrobi się na murarza, bo stale domki stawia i upaćkana chodzi.

Powiedzieliśmy sobie z żoną, że my się stąd nie ruszymy, chociaż chcą nas zastraszyć zamorskie podżegacze. Strachy na lachy, nie obawiamy się gnijących bestyj. Nieraz się z sąsiadami gwarzy na ten temat. I każdy powiada to samo — ożyła w naszych rękach martwa ziemia i nadal z nami żyć będzie.

Dziś już widać jak zakwitły nasze nowe strony. Wyjdź człowieku na drogi, zobacz jak ciągną na punkt skupu wyładowane po brzegi wozy! Oto mój drogi sąsiad Jan Grabowski odstawił zboże w 180 procentach, mleko w 210 proc., a z podatkiem jest w porządku. Albo Wirszewski Jan, ten sam, co to 300 kg. żyta ponad plan oddał, z mlekiem wyszedł na 180 proc. i podatek spłacił. Taki jest nasz Front Narodowy! Ile to mostów zbudowaliśmy na Braniewszczyźnie, ile poprawiliśmy kilometrów dróg! A któż, jak nie my, zbudował nową linię kolejową z Braniewa do Ornety? Któżby zliczył nowe domy budowane przez nasz ludowy rząd.

A ile mamy w ośrodkach maszyn takich, co jak tyle lat żyję — nie widziałem: do roztrząsania obornika, sadzenia ziemniaków, kopania buraków cukrowych. I te maszyny nam służą.

Co naród chłopskimi rękami stworzył — pozostanie jego na zawsze. Ja prosty chłop, Grabowski, odpowiem łachudrze zza oceanu, co każdy z nas: tej ziemi nie dostaniesz, bo tu nasze serca biją.

Aleksander Grabowski.

JÓZEFA SKOWROŃSKA

„Dziś polskie tam sztandary"

PISZĘ z Warmii i Mazur, krainy tysiąca jezior, rozległych lasów, ziemi, którą od wieków zamieszkują Polacy. Żyje w pamięci naszego ludu tradycja walki z prusactwem i hitleryzmem. Wielu jeszcze ludzi wspomina chłopskiego poetę Kajkę, wielu pamięta Andrzeja Samulowskiego, który sam pisał i pieczołowicie zbierał u schyłku XIX stulecia polskie pieśni ludowe. Znajdziecie w naszych stronach niemało powiatów w których Mazurzy mimo nacisku hakatystów nie chcieli się nauczyć niemieckiego języka.

Dziś, po wielu latach, kiedy przeminęły burze, zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, co to znaczy być wolnym, pełnoprawnym obywatelem, który może swobodnie posługiwać się mową ojców, śpiewać pełną piersią drogie nam pieśni. Chodzi jednak jeszcze o coś więcej. Kiedyś podlegaliśmy nie tylko narodowemu, ale równocześnie i klasowemu wyzyskowi. Jak daleko sięga moja pamięć — członkowie rodziny i wielu okolicznych chłopów służyło u „bauerów" i pruskich junkrów. A dziś mamy pełne prawo do awansu społecznego, dostęp do wszystkich stanowisk, urzędów, godności.

Mam córeczkę, uczennicę 6 klasy TPD i średniej szkoły muzycznej. Pomyśleć tylko — czy ja prosta pielęgniarka mogłabym za czasów pruskich śmiało patrzyć w przyszłość swego dziecka, kształcić je bez odejmowania sobie od ust? Czy mogłabym marzyć o tym, że zostanę kierownikiem miejskiego ośrodka specjalistycznego? A ze mną nie była wcale taka prosta sprawa. Znałam język polski słabo i trzeba było 2 twardych lat pracy nad moim powrotem do macierzystego języka, bym mogła należycie wypełniać powierzone mi obowiązki.

I czy w jakimkolwiek kraju rządzonym przez pieniądz, doznałabym tyle pomocy i życzliwości w pracy? Na pewno — nie, bo tak podchodzi do człowieka pracy tylko taki kraj, w którym rządzi robotnik i chłop, w którym buduje się socjalizm.

O naszych rodzinnych stronach można napisać jak i o reszcie kraju — dokonało się społeczne wyzwolenie człowieka pracy. I dlatego to cała ojczyzna jest solą w oku imperializmu amerykańskiego. Dlatego Adenauer, klika Kruppów i Schachtów wyciąga łapy po nasz kraj, ale za krótkie są ich ręce. Nie dla wojny, lecz pokojowej pracy wychowujemy nasze dzieci. I dla wieczystego pokoju odbudowujemy stare miasto w Olsztynie, dźwigamy z zacofania nasze Mazury, uprzemysławiamy je.

Idą wybory, jak to mówią moi rodacy — „welunek". W tym „welunku" oddamy głosy na kandydatów Frontu Narodowego. Nie mieliśmy nigdy w dziejach przedstawicieli sejmowych naszego ludu. A dziś, obok robotników, chłopów i inteligentów, przybyłych do nas z Polski centralnej, by wspólnie przebudowywać naszą ziemię — figurują na liście kandydatów znani wszystkim bojownicy o narodową i społeczną wolność Warmii i Mazur. Każdy z nas ze wzruszeniem czyta nazwiska — Juliana Malewskiego, przewodniczącego WRN w Olsztynie, chłopa — Augusta Rogali, gnębionego przez Niemców, nauczyciela — Edwarda Turowskiego, czy 22-letniego robotnika Gerarda Skoka, dziś wiceprzewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego ZMP...

Pozwólcie mi zakończyć urywkiem z hymnu mazurskiego, który napisał do melodii Feliksa Nowowiejskiego jego brat Rudolf, obaj warmiacy, rodem z Barczewa pod Olsztynem:

My Warmio twoje dzieci,
Kochamy ten nasz kraj,
Po latach burz, zamieci,
Niech błyśnie szczęścia raj.
Olsztyński zamek stary,
Krzyżactwa mieścił gród,
Dziś polskie tam sztandary
I odrodzenia cud.

Ten cud nasz lud warmiński umocni pracą i bronił będzie w potrzebie.

Józefa Skowrońska

WANDA MELCER

Będą we wsi „same uczone"...

OBYWATELKA Dziakiewiczowa, osadniczka, zamieszkała od czterech lat na Mazurach w Szwaderkach gminy Waplewo o 15 kilometrow za Olsztynkiem ma wielki kłopot. Zawieramy znajomość w autobusie zdążającym z Olsztyna do Ostródy, więc zasięga mojej rady. Mąż jest sołtysem i ma wiele cudzych spraw do rozstrzygnięcia, dzieci troje, jest więc o czym myśleć. Przybyli zza Buga, gdzie mieli trzy morgi lichej ziemi. Tutaj dostali piękne, zelektryfikowane gospodarstwo, mają kawałek łąki, dwa konie, trzy krowy i obrabiają siedem ha ornej ziemi.

Starszy syn Dziakiewiczów, Józef, kształci się na zawodowego oficera, córka jest w Olsztynie w handlówce, ale te dzieci nie sprawiają jej tyle kłopotu, ile młodszy, który jest w liceum pedagogicznym w Ostródzie. Co robić z tym Władkiem?

— Źle się uczy? — pytam.

— Gdzie tam, bardzo dobrze się uczy, nie myśli o niczym, tylko o książkach, i strasznie dzieci lubi. Jak się dwóch malców pokłóci, zaraz go wzywają żeby godził, taką ma powagę.

— Więc o cóż chodzi?

— A chodzi o to, że przyszedł leśniczy, bo u nas ogromne lasy i namawia, żeby Władka, który jest taki poważny i mądry chłopiec, odebrać z liceum i dać do szkoły leśnej. Miałby darmowy internat, a po sześciu miesiącach otrzymałby samodzielną posadę, nic by ich już nie kosztował, sam by sobie w życiu dawał radę, bo to i awans pewny, leśnicy strach jak potrzebni. Więc ona jedzie do tego Władka zapytać go, czy nie chciałby się przenieść i zostać leśnikiem? Jak byłoby dla niego lepiej? Co ja o tym myślę?

Patrzę na obywatelkę Dziakiewiczową i widzę, jak wyznając mi te swoje kłopoty rośnie z macierzyńskiej pychy, że tak jej się dzieci udały.

— Może by spytać, co by on sam wolał?

— Tak, ona właśnie też tak myśli i po to jedzie, żeby wszystko synowi przedstawić. Z jednej strony chciałaby, żeby się stał od razu samodzielny, ale znów z drugiej strony szkoda jej, że on tak dzieci lubi, w tych książkach by tylko siedział, i o niczym innym nie mówi, tylko „nauczycielem i nauczycielem, mamusiu, zostanę". A ostatecznie, jak wszystkie dzieci pójdą do szkół, kto będzie ziemię uprawiał?

— Spółdzielnia u was jest?

— Tymczasem jedna, osiem kilometrów od Olsztynka.

— Dobrze im się wiedzie?

— Bardzo dobrze. Z początku źle wyrachowali i za drogo ich maszyny kosztowały, ale teraz wszystko wyrównali. U nas też myślimy o spółdzielni.

— I jeszcze się pani pyta, kto będzie ziemię uprawiał? Część ludzi odejdzie do innej pracy, a tym, co zostaną, pomogą maszyny.

Nie całkowicie jednak przekonałam obywatelkę Dziakiewiczową. Patrzy na mnie z głęboką troską w oczach i mówi po namyśle:

— To może być ciężko. Bo tak się u nas złożyło, że we wsi same uczone siedzą.

Droga, kochana obywatelko Dziakiewiczowa! Kazałabym złotem na marmurze wyryć wasze słowa wszystkim podżegaczom wojennym na pohybel. Kiedy Adenauer przeczyta to zdanie, wstyd mu obleje pergaminowe policzki i wytarte czoło, Franco złapie się za głowę z przerażenia, Amerykanie uciekną z Francji, a kłamliwi przywódcy Labour Party ustąpią nareszcie miejsca prawdziwym przedstawicielom pracy.

U was we wsi, w Szwaderkach gminy Waplewo, 15 kilometrów za Olsztynkiem większość chłopskich dzieci kształci się w wyższych szkołach, a tak są niezbędnie potrzebni, że jeszcze nim ukończyli nauki, jak na nich czeka warsztat ciekawej pracy!

Czyż trzeba wymowniejszego argumentu za Frontem Narodowym? I czyż my wszyscy, którzy dożyliśmy i na własne oczy taką Polskę oglądamy, możemy głosować inaczej, niż na Front Narodowy?

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Pisarz w terenie

DAWNIEJ w ustroju burżuazyjnym, jedynym ośrodkiem kultury była stolica. Promieniowanie tej kultury nie docierało głęboko na prowincję; zresztą nie zawierało się to nawet w elitarnych programach. W socjalistycznej koncepcji kultury podstawowym warsztatem twórców jest teren. On to wnosi nowe i oryginalne wartości, podstawową wiedzę o życiu, a w oparciu o pracę oświatowca, nauczyciela i bibliotekarza, przy pomocy sieci korespondentów wychowuje samorodne talenty, narybek do Kół Młodych przy Związku Literatów.

Niedawny zjazd pracowników kultury w Szczecinie ostro postawił problem życia kulturalnego w terenie. Czołowi prelegenci (J. Kott i W. Sokorski) wykazali, że pod tym względem teren otaczany jest ciągle jeszcze niedostateczną troską. Kadry kulturalne i oświatowe w terenie nie zawsze stoją na wysokości zadania, za mało wkładamy wysiłku w ciągłe podnoszenie kwalifikacji pracownika. Niedostatecznie troskliwy i czujny jest stosunek do zagadnień kultury i sztuki ze strony wydziałów rad narodowych. Twórca, nie znajdując dla siebie środowiska, bazy działania w postaci pracy oświatowca (bibliotekarza, nauczyciela) — ucieka do stolicy. J. Kott wskazał w związku z tym na nierównomierne rozmieszczenie kadr kulturalnych w Polsce. Geografia ta cechuje się nadmiernym zagęszczeniem i białymi plamami. Zarówno prof. Kott jak i minister Sokorski orzekli, że nastąpiła w Polsce jednostronna centralizacja życia kulturalnego: w stolicy nagromadzone zostały najokazalsze warsztaty pracy (biblioteki, wydawnictwa, pisma); tu skupili się twórcy (przeszło połowa pisarzy z całej Polski); tu wreszcie wytworzono środowisko artystyczno-kulturalne o najwyższym poziomie, przyciągające twórców z terenu. Mówcy i dyskutanci wykazali, jak praktyka łamie słuszne intencje — mimo naszego nastawiania się na kulturalną aktywizację terenu, następuje ciągły odpływ sił z terenu do stolicy. Nie jest to zjawisko pożądane w naszym planowaniu kulturalnym. Zjazd wołał o „rozładowanie Warszawy", o rozmieszczenie sił twórczych po całej Polsce.

Ale ten niewątpliwie słuszny postulat budzi nowe troski, które podniósł w dyskusji na szczecińskim Zjeździe prof. Ejbisz — czy oddalony od wielkich warsztatów pracy, bibliotek, pism i wydawnictw, młody twórca nie straci na aktywności produkcyjnej?

Nie są to zagadnienia łatwe. Występują one i w Związku Radzieckim, gdzie Moskwa skupia większość pisarzy i gdzie występuje zagadnienie twórcy „peryferyjnego" (termin radziecki). W Związku Radzieckim istnieje tak samo zagadnienie rozprowadzenia twórców i warsztatów pracy twórczej po olbrzymich przestrzeniach pierwszego na świecie państwa socjalistycznego. Przypatrzmy się rozwiązywaniu tych zagadnień w ZSRR na odcinku życia literackiego.

W Związku Radzieckim utrwaliło się przekonanie, że pisarz nigdy nie osiągnie wielkiej pozycji, jeśli nie wyrośnie z samego życia, jeśli nie wyjdzie od doświadczeń mas i nie przyniesie ze sobą utworu typowego, właściwego dla życia mas ludowych w danym okręgu. Przed pisarzem rysuje się zadanie odzwierciedlenia życia lokalnego, odnalezienia w lokalnym zjawisku ogólnego i typowego przy jednoczesnym zachowaniu bogactwa miejscowego kolorytu. Kim jest taki potencjalny pisarz w pierwszej fazie? Aktywistą społecznym, korespondentem gazety, oświatowcem. Pierwszy surowiec wymaga oczywiście obróbki. Tę pomoc pisarz odnajduje w terenowym piśmie literackim, w miejscowym almanachu. Przez pismo autor wychodzi na ubity szlak literatury.

Siła literatury radzieckiej tkwi m. in. w umiejętnie stworzonej sieci organizacyjnej. Związek Pisarzy Radzieckich liczy w swoich szeregach wielu pisarzy o światowej sławie, ale aktyw Związku w terenie to ponad tysiąc literatów o średnim lecz bardzo wyrównanym poziomie, literatów czynnych, upolitycznionych, umiejących dobrze pisać. Kadry te rozmieszczone są po całym Kraju Rad. Związek Pisarzy posiada oddziały i własne pisma literackie w najodleglejszych zakątkach kraju. By pisarz z odległego terenu nie musiał uciekać po sławę i zarobek do stolicy, powinien posiadać warunki twórczego rozwoju na miejscu Te warunki w Związku Radzieckim istnieją wszędzie, a nazywają się: miejscowa gazeta codzienna, pismo literackie, almanach, nieraz Oddział Związku i wydawnictwo. W ten sposób pisarz w okręgu ałtajskim czy we Władywostoku odnajduje lokatę dla swego talentu i całkowitą opiekę. Przykłady: w roku 1951 w Irkucku (Syberia Zachodnia), pisarze wydali 45 książek o łącznym nakładzie 1.100.000 egzemplarzy. W dalekim Władywostoku wychodzi almanach „Radzieckie Nadmorze". Na Krymie drukuje się specjalny almanach pt. „Krym", publikujący szczególnie wiele utworów o budowniczych Kanału Krymskiego. W okręgu amurskim w piśmie „Nad Amurem" wypowiadają się literaci zgrupowani w mieście Błagowieszczeńsk. W Taszkiencie ukazuje się w języku rosyjskim miesięcznik pt. „Gwiazda wschodu". Przykłady można mnożyć. Świadczą one o tym, że pisarz „terenowy" w Związku Radzieckim otaczany jest troskliwą opieką. Szeroka sieć wydawnictw, prasy literackiej, czujność krytyki lokalnej ułatwia talentowi narodziny, umożliwia pisarzom pierwszy start. I tylko w takim wypadku pisarz może utrzymać się poza stolicą.

Grzegorz Timofiejew

WOJCIECH DRYGAS

Niepotrzebne wyścigi

ZWŁASZCZA gdy wydawał polecenia, lub gdy był wzburzony, głos sołtysa Sudoła brzmiał co najmniej równie potężnie jak ryk legendarnej trąby jeryhońskiej. W czasie pochodu dożynkowego, kiedy dowodził osobiście banderią konną, nikt w całej okolicy mu nie dorównał. Przekrzyczał wszystkich. To też wszelakie metafory byłyby tutaj zbyt słabe, aby w sposób właściwy zobrazować siłę jego organu głosowego. Trzeba go było samemu słyszeć!

O ileż trudniej jednak dowodzić długą, bo ciągnącą się na kilometr kolumną wozów chłopskich, zwłaszcza gdy silny wiatr jesienny porywa słowa i rozrzuca po polach. A mimo to, kiedy sołtys Sudoł wdrapał się na pierwszy wóz naładowany kopiasto workami ze zbożem, wyprostował swą tęgą postać i zmarszczył czoło w kształt litery Z, a z krtani wybiegło tubalne: „Na wozy!"—kto żyw pospieszył na pierwsze wezwanie.

Za drugim hasłem, wyrażającym niecierpliwość, które poderwało wszystkie zady końskie do żwawego kłusa, w gwałtownym ściągnięciu sołtysowskich brwi zarysowało się coś w rodzaju niepokoju. Może już wtedy, zanim zdołał minąć rozstaje dróg za rodzinnymi Leszczynami, zgadywał zbliżający się nieuchronnie dramat? Tymczasem jednak nie było przecież przyczyn do niepokoju. Czterdzieści wozów, z których każdy dźwigał brzemię dziesięciu kwintali doborowego ziarna, toczyło się szybko po gładkiej szosie. Chłopi strzelali z batów, parskały z ochotą konie, szerokoskrzydłe transparenty wzdymał niby żagle ostry pęd powietrza.

Ostatnie zabudowania wioski minęli z fasonem godnym wielkiego miana „sołtysowskiej banderii konnej". Dalej przeskoczyli z hałasem brukowany kocimi łbami mostek i zwiększając z każdą minutą szybkość, zbliżali się do majaczących, zaodartymi z listowia krzewami dzikich malin, łap drogowskazu. Od tego miejsca, zgodnie z napisem: „TOPOLA 3 km", — należało skierować końmi w lewo.

Nie uczynił tego sołtys Sudoł, bo zanim zdołał pomyśleć o niewielkiej już odległości, dzielącej go od punktu skupu, stała się rzecz wstrząsająca. Naraz zagrzechotały werble, zajęczała basetla, ozwał się pisk fałszywego klarnetu i bębna. Konie zastrzygły uszami. Zza krzewów malin, z bocznej drogi, wyłoniła się wrzaskliwa konkurencja w postaci prezesa koła gromadzkiego ZSCh w sąsiednim Leszczynku — Pytlarka, dyrygującego kapelą ludową w łowickich pasiakach, a za nimi niekończący się sznur furmanek ze zbiorową dostawą zboża i ziemniaków.

— Stop! — zachłysnął się własnym okrzykiem sołtys Sudoł, osadzając na miejscu kapelę z werblami, klarnetem, basetlą, pękniętym bębnem i dużą trąbą. Jego dolna warga, cienka i bardzo ruchliwa, zdradzała despotyzm człowieka ze wszech miar ambitnego.

— Dokąd to prezesie? — dodał z pogróżką w głosie.

Ojciec koła gromadzkiego ZSCh, zwrócił swą siwą na samym czubku głowy kępkę włosów, skąd wydawał tubalny rozkaz. Oczy wyrażały anielski spokój, a gładkie czoło miało wyraz słodyczy.

— Ano, do punktu skupu sąsiedzie — odparł ze zdziwieniem.

— Do punktu skupu, czy do samego diabła — pojedziecie za moją kolumną. Zrozumiano? — zagrzmiał jak burza sołtys, który wdrapał się na najwyżej leżący worek i górował teraz nad prezesem o dobre cztery głowy.

— My mamy kapelę — bronił swych praw do pierwszeństwa prezes Pytlarek, — kapela jedzie zawsze na przodku...

— Wybijcie to sobie ze łba, prezesiuniu, pojedziecie za nami, w środku kolumny będzie lepiej słychać trąbę...

— Tak dobrze nima! — zagdakał prezes. — Pojedziemy od przodka!

— A ja wam mówię, że od środka...

— A właśnie, że od przodka...

Tu ojciec koła gromadzkiego zrobił straszliwy gest frędzlastą batutą, jakby chciał zmiażdżyć przeciwnika, co wprawiło w ruch całą kapelę: zawarczały groźnie dwa werble, zajęczała złowieszczo basetla, zapiszczał strapiony klarnet, a do wtóru powiało rykiem strwożonej do cna trąby i groźnym uderzeniem bębna. Wzburzony sołtys niezdolny był wyrzec słowa ani nawet wydać krzyku. Nie, to już nie był człowiek. Był jak lew i mruczał jak lew. Narażając się na skręcenie karku trzepnął konie biczyskiem po pęcinach i pognał galopem do przodu, przeciskając się między furmanki a drzewa.

— Za nim! — wrzasnął nieludzko prezes Pytlarek, gubiąc w międzyczasie anielski spokój i przyklejony do czoła wyraz słodyczy.

Wszystko to stało się w jednej chwili.

Rozpoczął się dramatyczny wyścig, który długo będą pamiętać mieszkańcy całej gminy. Drzewa uciekały w szalonym pędzie do tyłu, na każdym zakręcie czyhało zimne tchnienie śmierci. Popuszczając cugli walącym kopytami koniom — sołtys obejrzał się do tyłu. Odległość dzieląca go od kapeli ludowej malała z każdą sekundą. Jego wóz— jakby nie było — ciągnął dwadzieścia centnarów, furmanka konkurencji zawierała raptem sześciu chudych muzyków, jednego kapelmajstra i chłopca przy koniach. Żaden z nich nie ważył wiele więcej od worka z żytem. Sołtys zaciął desperacko usta — do ukończenia biegu pozostawało tylko pół kilometra... Ale oto już za plecami słyszy dźwięki skocznej poleczki, przerywane czkawką trębacza, który z wielkiego impetu powietrza, wpadającego przez duży otwór w głąb trąby — nabawił się przeciągu.

Łeb w łeb pędzili teraz uliczkami cichej Topoli, wzniecając panikę wśród kaczek i indyków i strasząc skłóconą tromtradadą instrumentów spokojnych mieszkańców. Na pierwszym zakręcie wysforowała się do przodu kapela prezesa Pytlarka.

— Hej tam, z drogi! — wpadli przez bramę na podwórze gminnej spółdzielni, hamując z trudem rozbiegane konie przed rampą magazynu zbożowego. Tuż za nimi wtarmosił się zielony z upokorzenia sołtys Sudoł, gotów do dalszej walki o palmę pierwszeństwa.

— Moja kolumna za mną!

Lecz cóż to? Chłopów ani widu— ani słychu. Spostrzeżenie to, dokonane równocześnie przez obu konkurentów, odebrało im pewność siebie.

Jakoś tak od niechcenia, unikając wzajemnie spojrzeń, zagapili się w pewnej chwili na czerwony transparent, rozwieszony przed wejściem do magazynu. Każdy z nich odczytał po cichu widniejące na nim słowa: „Witajcie chłopi z Leszczyn i Leszczynka zjednoczeni we Froncie Narodowym walki o pokój i Plan 6-letni — każdy wasz kwintal zboża jednakowo wzmacnia siły Ojczyzny Ludowej".

— Oj, durny ty, durny z przodka i od środka — stuknął się w czoło sołtys.

— Oj, ty głowo do pozłoty... — klepnął się w czoło prezes.

W tym samym momencie nadjechali zgodnie chłopi obu sąsiadujących ze sobą gromad. Wtaczając się na podwórze już z daleka wołano:

— Co z wami, ojcowie, powariowaliście, czy jak?

Prezes Pytlarek poczerwieniał jak dojrzały pomidor:

— Co znaczy „powariowaliście?" Wysunąłem się do przodka, aby was powitać na punkcie muzyką...

— A ja — zapewniał tubalnie sołtys Sudoł — ino dla waszego dobra gnałem konie. Trza było przecież pomyśleć o dodatkowych wagach, kiedy nas dzisiaj dwie gromady...

Po czym, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia, niedoszli konkurenci ujęli się pod ręce jak najlepsi przyjaciele i pełnym dostojeństwa krokiem wstąpili na rampę.

— Nie mitrężyć chłopy, zajeżdżać do wag! Orkiestra marsza!

Wojciech Drygas.

A. KOWOL-MARCINEK

Czytelnicy o książkach

KILKA UWAG O „DRODZE DO ŚWIATŁA"

OSTATNIO przeczytałem otrzymaną dla naszej biblioteki gminnej w Włoszakowicach książkę B. Karpińskiego pt. „Droga do światła". Temat książki zainteresował mnie bardzo. Z zagadnieniem tym bowiem stykałem się na tutejszym terenie jako członek Gminnej Komisji Oświaty i Kultury i jako bibliotekarz gminny. Piękny tytuł lecz temat rozczarował mnie niestety... Dlaczego? Po pierwsze dlatego, że książka ta napisana jest zbyt powierzchownie; bez należytej wnikliwości, (co prawdopodobnie jest wynikiem niedostatecznej znajomości środowiska wiejskiego — życia się z nim i życia nim). Wszystko tu dokonuje się tak szybko, łatwo i bez żadnych trudności, konfliktów czy potknięć, iż czytając wprost wierzyć się nie chce by coś podobnego miało miejsce w rzeczywistości, w życiu.

Weźmy np. główną postać, Piotra Badurę. Jest to niewątpliwie piękna postać, lecz tak mało powiedziane jest o jego pochodzeniu, życiu i pracy, iż trudno wyrobić sobie jakiekolwiek o nim wyobrażenie... „Piotr miał 23 lata. Górnikiem był z zawodu i zamiłowania. Jego młodzieżowa brygada wyrabiała ponad 200 proc. normy" — czytamy. Brzmi to chyba sucho i trudno czytelnikowi oprzeć się wrażeniu, że to sprawozdanie. Dalej dowiadujemy się, że poza pracą, górnika Piotra urzekało lotnictwo, że ukończył kurs modelarstwa, szybownictwa i pilotażu. „Pracował w najgłębszych pokładach ziemi, a odpoczywał w najwyższych jej strefach". Tyle danych o życiu i pracy górnika z jednej z górnośląskich kopalń węgla, który miał dokonać tak wielkiego przełomu w życiu pewnego środowiska wiejskiego. A przecież nie stykał się z nim, nie znał go. Chyba, że autor zapomniał nam o tym powiedzieć. I znowu trudno nam wierzyć autorowi, by tak łatwo udało się Piotrowi pozyskać zacofanego i nieuświadomionego Jaśka i innych młodych, uczynić z nich świadomych działaczy młodzieżowych i zjednoczyć ich w jeden ZMP-owski kolektyw w ciągu krótkiego stosunkowo czasu. Ale to jeszcze nie wszystko, jedno jedyne zebranie ma w tej książce odegrać magiczny wpływ również na bierną masę starych, nieufnych, trwających w przesądach i opornych chłopów, ma ich nakłonić, w zamierzeniu autora, do współzawodnictwa i do wspólnej pracy w okresie żniw.

Drugim rozczarowaniem jakie mnie spotkało przy lekturze „Drogi do światła", to niewłaściwy, a nawet do pewnego stopnia wypaczony obraz walki z analfabetyzmem w Polsce.

Należałoby tu, moim zdaniem dać rzeczywisty obraz walki z analfabetyzmem, toczonej w całym kraju, należałoby pokazać te czynniki, które brały czynny udział w tej kampanii, pomagały, wspierały i przyczyniły się do zlikwidowania analfabetyzmu,

Pominięcie czynnika planowania na korzyść „dobrej woli" jednostki wypacza obraz walki z analfabetyzmem w książce Karpińskiego i to stanowi jej główne niedociągnięcie.

Trzecia sprawa, która mnie rozczarowała przy czytaniu powieści Karpińskiego, to niewłaściwe powiązanie zagadnień. Walka ze szkodnikami przyrody — a walka z analfabetyzmem. Analfabeta Jasiek uczy się czytać i pisać — bo chce zostać lotnikiem. Czy nie lepiej walkę ze szkodnikami lasu połączyć z walką ze szkodnikami innych roślin rolniczych, co przecież jest również bardzo ważnym zagadnieniem i mogłoby posłużyć za temat do pięknej powieści, ale to jest zagadnienie wychodzące już poza ramy „Drogi do światła".

Takiego wypadku jaki podano w książce, że lotnik przyjeżdża i tylko dzięki niemu zabrano się do likwidacji analfabetyzmu chyba w ogóle nie było. A przecież analfabetyzm został zlikwidowany i to stosunkowo w krótkim czasie i prawie równocześnie w całym kraju. A stało się to dzięki naszej władzy ludowej i jej słusznej polityce, mającej na uwadze dobro mas pracujących, podniesienie poziomu tak materialnego jak kulturalnego i uczynienie z każdego mieszkańca miast i wsi pełnowartościowego obywatela, przez przyswojenie mu umiejętności czytania i pisania oraz umożliwienie mu korzystania ze skarbnicy wiedzy i kultury narodowej.

I w tym uważam tkwi istota „Drogi do światła" — tysięcy obywateli naszego kraju,

A. Kowol-Marcinek

HORACY SAFRIN

CHWAST

Pana Nikodema Chwasta
łatwo poznać po łysinie:
gdzie nie posiać, tam wyrasta,
w każdym skwerze, w każdym kinie,
w każdej dziurze — barze, biurze,
w każdym wozie M.K.E.
ujrzysz jego oczka szczurze
w okularach lub bez szkieł.

Chwast — natura to szeroka,
co w reakcji ma swój korzeń,
Chwast — obrońca i adwokat
„uciśnionych" ludzkich stworzeń.
Tam, gdzie spory, waśnie, zgrzyty,
gdzie sąd podzielony jest,
rzuca Chwast swój „autorytet",
szept znaczący, słowo, gest...

Chwast, ludowych mas „dobrodziej",
głos ma dźwięczny i łaskawy —
uśmiechając się łagodzi
i rozgrzesza „ziemskie sprawy".

Pasek, szaber, spekulacja
w jego ustach brzmią jak „miód",
nadużycie brzmi jak „racja",
demokracja zaś — jak „wrzód".

Chwast „przezacne" swe poglądy
stara się zaszczepić bliźnim:
wierzy w „ludzkość", w radio Londyn,
w „twarde", „miękkie" — słowem w „byznes".
Tylko czasem głos swój zniża,
cedząc słodko (sans elan!):
— Jak donoszą nam z Paryża,
„trzeciej wojny" dojrzał plan — — —

Tenci podejrzany typek,
co wśród paniuś laury zbierał
i żył z różnych „lip" i „lipek" —
dziś, na szczęście, już wymiera.
Kiedy oddasz głos w niedzielę,
wiedz, że z naszych wsi i miast,
jako z pól szkodliwe ziele,
raz na zawsze zniknie Chwast!

Gazetka gminna

GORZKA TA CYKORIA...

Daj gospodyni dobrej cykorii — to ci nagotuje kawy, że paluszki lizać.

Co innego, jak cykorię weźmie w swoje ręce kiepski urzędnik. Ten na pewno narobi takiego świństwa, że potem życie na długi czas brzydnie.

Przekonali się o tym chłopi w Sosnowicy. Ale zacznijmy od początku. Wszędzie w okolicach Skawiny, w której mieści się fabryka środków kawowych — chłopi uprawiają kontraktowaną cykorię. Opłaca się ta kontraktacja, bo i cukru dużo się dostaje, różne nawozy, często premia wpadnie, no i z transportem nie ma kłopotów, bo Skawina blisko.

W tym roku cykoria szczególnie ładnie obrodziła. Wzrosła w korzeniach jak nigdy. To też wszystka robota poszła w Sosnowicy w kąt, skoro nadszedł termin dostawy cykorii. Przed paru dniami kilka furmanek zajechało przed magazyny kawy w Skawinie. Długo czekali interesanci, żeby ktoś, do nich wyszedł. Wreszcie któryś ze sprytniejszych wywabił na pole magazyniera.

— Czego chcecie? — zaczął ten zaczepnie.

— Ano, przywieźliśmy cykorię — wyjaśnili chłopi.

— Skąd jesteście?

— Sosnowiccy.

Magazynier cofnął się do kantorku, pogrzebał w papierach i z wysokości pięciu schodów oznajmił:

— Wracać mi zaraz do chałupy. I powiedźcie we wsi, że cykorię ze Sosnowicy przyjmujemy w listopadzie. Chłopi rada w radę udali się po spra-

wiedliwość do biura fabryki. Stracili przy tym kilka godzin, ale w końcu dowiedzieli się, że ich gromada ma zgodnie z planem odstawiać pomiędzy 6 a 20 listopada. Wrócili więc do swojej wsi i prosto od wozów z batami w rękach poszli do przodownika kontraktacji, ob. Jana Brożka. Nie wiadomo, czym by się cała historia skończyła, gdyby Brożek nie schował się na strychu w sianie, a jego dzielna żona nie udowodniła urzędowym papierem, że mąż jest niewinny. Bo musicie wiedzieć, że cykoria byłaby jeszcze spokojnie siedziała w ziemi, gdyby Brożek nie otrzymał pisma z Zarządu Cukrowni Chybie, w którym wyraźnie stało, że „płantatorzy gromady Sosnowice winni niezwłocznie odstawiać cykorię, ponieważ termin dla Sosnowicy mija z dniem 20 października". Cóż więc pozostało Brożkowi do zrobienia, jak nie ogłoszenie tego pisma plantatorom.

A teraz w Sosnowicy jest tak: większość cykorii już wykopana, a kopcować ją do listopada nie opłaca się, zostanie nieokopcowana — zeschnie się na kość i potem Skawina nie przyjmie. Najlepiej byłoby odwieść ją do magazynów, ale plany nie pozwalają.

Roman Wójcik.

KARA W SAM RAZ

Mieszkał do niedawna w naszej wsi (pow. Łęczyca) pewien osobliwy człowiek nazwiskiem Antoni Polit. Przez długi czas nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego mu się pomieszał tak dokumentnie dzień z nocą. Po ciemnicy krzątał się, jak mówili sąsiedzi, po obejściu, wyjeżdżał gdzieś w stronę Zgierza i Łodzi, za jasności zaś spał niczym suseł. A, że przy okazji przespał terminy dostaw zboża i żywca, co — jak wiadomo — na honor gromadzie nie wyszło, postanowiliśmy zbadać tajemnicę Politowego życia, boć przecie dla niego jednego nie można odstawiać nocami ziarna i tuczników.

Co powiedziane, to i zrobione. Chłopi, którzy byli na ostatniej wojnie urządzili — proszę Was — zwiady nocne i przynieśli zastraszające wiadomości. Polit jest mordercą! Słyszeli wyraźnie jęki mordowanych ofiar, dobywające się z chlewni i obory. Gonił widać swoje ofiary.

A rano wszystko się wyjaśniło. Oto ofiary pana politowego obucha: 8 tuczników, 3 cielęta i 1 jałówka.

— Za jaką cenę mordował nieszczęsne stworzenia?

— Za paskarską.

— Kto mu ją wypłacał?

— Spekulanci ze Zgierza i Łodzi.

— Czy kara wymierzona mu przez Sąd Powiatowy w Łodzi jest zbyt duża?

— Nie — 2 lata i 6 miesięcy to w sam raz na uczynienie pokuty.

— Kim więc okazał się osobliwy człowiek Antoni Polit?

— Kułakiem i spekulantem.

A kto jeszcze nie wierzy, to powiemy mu, że kułak przypomina zawsze trochę worek z trocinami. Zrobisz ma-

łą dziurkę a wysypie się wszystko. Wysypało się więc, że Polit podzielił fikcyjnie swoje gospodarstwo. Płacił tedy mniejsze podatki, a i obowiązkowe dostawy znacznie mu zmalały. Zwiększał odpowiednio do tego swój eksport do Zgierza i Łodzi, ciemną nocą na czarny rynek.

Jan Biegała

ZGUBIONY SUPERFOSFAT

Nie dawno było u nas w Sosnowicy zebranie poświęcone wyborom i Frontowi Narodowemu.

Na dzień po tym zebraniu kilkanaście furmanek ze zbożem z Sosnowicy zajechało przed gminny punkt skupu zboża w Brzeźnicy (pow. Wadowice). W ten sposób nasza gromada wykonała roczny plan sprzedaży zboża państwu, wyszła na czoło nie tylko w gminie, ale i w powiecie.

Cieszyliśmy się bardzo, ale nie za długo. Zaraz po południu pojechaliśmy do gminnej spółdzielni w Brzeźnicy po nawozy sztuczne, gdyż otrzymaliśmy zawiadomienie, że Sosnowicy przyznano 2,5 tony superfosfatu.

W GS-ie magazynier ob. Jańczyk Jan oświadczył nam, żeśmy się spóźnili po te nawozy.

A gdzie się podziały, tego pan Jańczyk nie potrafił wyjaśnić. Zresztą i nie mógł — bo mu się okropnie język plątał i co chwila chwytała go czkawka. Z całego bełkotu zrozumieliśmy tylko tyle, że „zalany" magazynier obiecywał sumiennie, że następnym razem otrzymamy na pewno wyrównanie. Dał nawet słowo honoru!

Cóż z tego, kiedy nawozy są nam już teraz potrzebne a to, co nam pan Jańczyk obiecuje, to my wiemy, że i tak na wiosnę otrzymamy.

Poszliśmy więc do obywatela Władysława Klaji, członka kierownictwa GS, który zajmuje się nawozami. I usłyszeliśmy taką historyjkę:

— Nawozy leżały w magazynie już od dawna. Nie wydawaliśmy ich, bo nie mieliśmy zawiadomienia, że można sprzedawać. A że niedawno przyszło, więc poleciliśmy sołtysom, żeby przynieśli listy imienne. Wasz sołtys spóźnił się o trzy dni z listą, to nic dziwnego, że dla was brakło.

— Wyjaśnienie to niewiele nam wyjaśniło. Bo przecież, skoro nawozy leżały w magazynie całymi tygodniami, to porcja dla naszej wsi przeznaczona mogła jeszcze trzy dni poczekać na naszego sołtysa, który w tym czasie był bardzo zajęty w akcji wyborczej.

Sprawa wydawała się nam bardzo niejasna, a kiedy powiedzieliśmy to obywatelowi Klaji i dodaliśmy, że trzeba będzie chyba uciec się do pomocy gazety, to on nam powiedział: wy mnie gazetą nie straszcie, ja sam dobrze wiem co robię.

A nam się wydaje, że to wcale nie wystarczy, by tylko obywatel Kleja wiedział dobrze, co robi. O tym co się robi w GS-ie powinna dobrze wiedzieć także cała gmina.

Chcielibyśmy się więc ustalić, co się stało z przeznaczonymi dla naszej gromady nawozami sztucznymi?

Roman Wójcik.

METODA STACHOWIAKA

Chcemy Wam opowiedzieć jak daleko można zajechać stosując genialną metodę pana Stachowiaka, członka Zarządu GS-u w Mielencinie, pow. Wałcz. Metoda ta miała na celu dobro chłopskich klientów, a miejsce jej zastosowania to po prostu sklep GS.

Myśl — być może — nie nowa, ale sposób w jaki ją pan Stachowiak realizował, stanowi prawdziwą, jedyną i na pewno niepowtarzalną rewelację.

Przejdźmy do faktów, te bowiem są bardziej cierpliwe niż chłopscy podopieczni pana Stachowiaka. Otóż nasz genialny racjonalizator nie oddawał w ręce klientów żadnego towaru póki go sam nie wypróbował. Tak więc, kiedy przyszedł do GS-u proszek do prania, artykuł cenny i potrzebny, natychmiast polecił urządzić w domu generalne pranie. Godzi się na tym miejscu dodać, że nie ufał własnemu tylko doświadczeniu, gdyż lojalnie przydzielił ten proszek familiantom i kilku znajomym. I dopiero, gdy wszyscy paradowali już po wsi w czystych koszulach, wydał rozkaz: sprzedawać masom! Ale do tego sprzedawania nie doszło, gdyż proszku już nie było.

Stachowiak jednak nie załamał się. A nuż uda się z następnym artykułem i dojdzie on do chłopskich odbiorców? Jakoż nadeszły pończochy, o które od dłuższego czasu suszyły nam głowę kobiety. Towar jak wiadomo delikatny, wymaga stanowczo sprawdzenia. Było z tym sprawdzeniem dużo kłopotu, bo pończoch, jak na złość, przysłano niemało, coś ze 250 par. Familiantów i znajomych na miejscu nie starczało, trzeba było posyłać do powiatu, gdzie udało się Stachowiakowi znaleźć trochę ludzi chcących dla mas próbować towary. No ale dla nas nie starczyło pończoch, musiały kobiety wkładać na nogi samo przekonanie, że są dobre.

Wreszcie nie wytrzymaliśmy, ponieważ Stachowiak zabrał się na serio do wypróbowania na swoich 15 ha pięknego dwuskibowca. Zrezygnowaliśmy oczywiście z genialnej metody i jej twórcy, który zawędrował orzed Sąd Powiatowy. I teraz już wiecie jak daleko zajedzie każdy, kto zechce metody Stachowiaka upowszechniać.

Józef Mikuta

WYBORCZA BATALIA

Dość tych fochów, złych humorów —
idziem, stara, do wyborów!

Słuchaj, Frącek, nie bądź durny —
po co nam iść do tej urny?

Jak to — po co? Też pytanie!
Przecież dzisiaj głosowanie!

Głosowanie głosowaniem —
a czy musisz ty być na niem?

Nikt nikogo tu nie zmusza —
lecz gromada cała rusza...

Ej, patrzcie go, ideowca —
jak za trzodą goni owca!

Ja nie żadnym owczym pędem
lecz obywatelskim względem...

Taka plucha, wicher, słota —
a on w drogę gna... patriota!

Nie chcesz, stara — sprawa prosta:
ja sam pójdę — a ty zostań!

Głosowanie! Cóż to da ci?
Kto ci za twój głos zapłaci?

Ach, ty ino z tą mamoną!
Utrapienie z taką żoną!

Utrapienie! A ja sobie
tam spoglądam, gdzie zarobię!

Oj, zarobisz ty ode mnie —
lecz nie będzie ci przyjemnie!...

Co za tyran z mego pana!
A przed laty: „Ma wybrana!..."

Wybrałem cię — kawał osła —
lecz, na szczęście, nie na posła!...

Nikt mi zalet nie odejmie:
umiałabym gadać w sejmie!

Język masz! Ale posłowie
muszą także mieć coś w głowie!...

Mam ja głowę, mam — mówię ci —
bacząc, skąd mi zysk podleci!

A chcesz wiedzieć, moja stara:
skorzystamy co niemiara!...

Ejże? Jak to? W takich czasach
też wyborcza jest kiełbasa?

Nie kiełbasa! Chłop nie głupi —
dzisiaj go tym nikt nie kupi!

Więc jak mówisz? Skąd z tych głosów
można znaleźć zysku sposób?

Rzecz jest jasna! Ręczę ja ci:
Państwo wszystkim nam zapłaci!

W złotych — może — czy w naturze?
Mów-że, Frącek, prędko — nuże!

Ach, zapłaci każdej wiosce
w coraz większej o wieś trosce —
traktorami, kombajnami,
szczepionkami, nawozami
i lepszymi wciąż plonami!
Podzieli się szczodrze z nami
świetlicami i szkołami,
kinami i teatrami!

Jeśli tyle chłop tu zyska —
g ł o s u j e m y! Dajże pyska...

Witold Degler

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7-52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.
Tel: Red. Nacz. 727-86. Tel.: Redakcji 751-80 dod. wewnętrzny 91, 63.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie — 3 zł, kwartalnie — 9 zł, półrocznie — 18 zł, rocznie — 36 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
RSW „PRASA" Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-21453